№ 8. Warszawa, dnia 12 (24) Lutego 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ i ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. - Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Józef Szujski.

Erato złotowłosa i ty wdzięczna lutni,
Zkąd pociechę w swych troskach, biorą ludzie smutni?

(Kochanowski „Tren XV").

Dnia 7-go lutego rano, po nad prastarym uniwersytetem Jagiełłów i nad tą świątynią wiedzy Akademią umiejętności w Krakowie, powiewające czarne proporce ogłosiły zgon jednego z najczynniejszych ludzi, profesora historyi Polskiej D-ra Józefa Szujskiego. Smutna i złowroga wieść prędko obiegła cały Kraków i przeszyła boleścią serca nie tylko wszystkich jego przyjaciół i znajomych, ale nawet całego ogółu, nawet tych, którzy w przeciwnym mu obozie stali.

Józef Szujski urodził się w 1835 roku w Tarnowie, gdzie też rozpoczął swoje nauki.

Opuściwszy w 1854 roku Tarnów udał się do Krakowa, gdzie po ukończeniu gimnazyum zapisał się na Uniwersytet. Początkowo uczęszczał na wydział prawny, w roku jednak 1856 przeniósł się na historyczno-filozoficzny, który w Wiedniu ukończył. W 1858 roku osiadł Szujski w swoim własnym majątku Kurdwanowie pod Krakowem, gdzie przy zwykłych obowiązkach, zajął się gorliwie pracą literacką. Początkowe wystąpienie Szujskiego na tem polu ograniczyło się na krótkich ulotnych, przeważnie lirycznych wierszach, drukowanych w wychodzącym podówczas „Dzienniku literackim" i „Dodatku do Czasu", jak np. Sługa grobów, Śmierć proroka i Obrona Częstochowy. Są to poemaciki pisane gładkim i czystym językiem, nie brak im ani talentu, ani fantazyi poetycznej, owszem myśli jasne i piękne składają się na całość, jednakże, pomimo tych zalet, nie przepowiadają talentu, jaki w rzeczywistości posiadał Szujski.

Nie długo jednak pozwolił drzemać swojej muzie. Już w 1858 roku, ukazał się w „Dodatku do Czasu" pierwszy jego dramat historyczny „Halszka z Ostroga", w 1860 roku przedstawiony po raz pierwszy na scenie teatru czeskiego w Pradze, czem uprzedzono znacznie nasze sceny.

Odtąd sława młodego poety i dramaturga wzrasta bardzo szybko, zwłaszcza, że się nadały ku temu i bardzo pewne łagodzące okoliczności. Galicya w 1859 roku otrzymuje prawa.

Równocześnie i na uniwersytecie ukazała się katedra historyi polskiej, którą objął Antoni Walewski. Tegoż roku manifest cesarski zapewnił wszystkim krajom składającym monarchię austryacką, rządy autonomiczne.

Odtąd położenie w Galicyi zmieniało się szybko a upadłe i ledwie ziejące dziennikarstwo zaczęło się wzmagać nie do poznania.

W tym czasie sława publicystyczna i literacka Szujskiego dojrzewała. Oprócz „Halszki" wydał kilkanaście dramatów przeważnie historycznych, które z większem lub mniejszem powodzeniem były wystawiane na scenie. Do pierwszej seryi zaliczymy dramata: "Dzierżanowski" osnuty na tle panowania Zygmunta Augusta, „Jerzy Lubomirski", wreszcie „Wallas" tragedya osnuta na tle podań Skandynawskich. Wszystkie te prace zjednały Szujskiemu imię dramaturga i powieściarza. Niektóre powieści nawet były kreślone z wielką siłą i prawdziwym humorem do jakich niezawodnie zaliczyć możemy „Jacka Brzuchalskiego" wierszem, „Historyą szlachcica na bruku" opowiedzianą z niezwykłym humorem.

Ale Szujski nie poprzestał na dramatach historycznych, lub powieściach pisanych wierszem i prozą i jeszcze na wsi rozpoczął głębsze studya nad historyą polską, a w 1860 roku ogłosił w „Dzienniku literackim" rozprawę obfitującą w nowe poglądy i trafne bardzo określenia p. t. „Rzut oka na historyę polską".

Odtąd rozpoczęły się prace ściśle naukowe, a mianowicie w 1862 roku druk cztero tomowego dzieła: „Dziejów polskich", które w 1866 roku we Lwowie ukończone zostało. Zmuszony poszukiwaniem materyału i brakiem odpowiednich dzieł, Szujski opuścił w 1863 roku Kurdwanów i przeniósł się do Krakowa.

Trzy pierwsze tomy, więcej co prawda kompilacyjne mają przeważnie charakter postępowy. Autor srogo karci tu wpływy duchowieństwa, zgubną politykę Rzymu, wreszcie szkoły i wpływ polityczny jezuityzmu. W ostatnim zaś tomie sąd zmienia się nie do poznania.

Oprócz jednak historyi, którą w Krakowie wykończał Szujski, nie poprzestawał pracować dalej na polu piśmienniczem. W 1867 r. ukazuje się nowa bardzo ważna i cenna praca p. t. „Rys dziejów świata niechrześciańskiego"; i powieść społeczna wydana pod pseudonimem Michała Skiby „Bezimienna trucizna", wreszcie powstają jeden po drugim dramata: „Zborowscy" (1869 r.) „Jerzy Ossolińtki" (1870 r.) „Kopernik" (1873 r.) „Marya Mniszkówna", „Śmierć Władysława IV-go" (1876 r.) i ostatnia na tem polu okolicznościowa praca „Długosz i Kalimach" napisana na pierwszy zjazd historyków polskich, zwołany przeważnie przez niego do Krakowa na uroczystość 400 letniej rocznicy Długosza.

Dramata historyczne Szujskiego są kreślone nie bez talentu; owszem wiele scen prawdziwie dramatycznych, wiele chwil prawdziwie wzniosłych, często zdarza się tam napotkać. Mają one jednak większą wagę, a mianowicie ściśle historyczną prawdę, Szujski potrafił odtworzyć w nich z niesłychaną zdolnością zaginione postacie.

Jemu też musimy zawdzięczać wydobycie, a raczej w szaty dramatu przystrojonego Twardow-

skiego. Szkoda tylko, że postać ta wypadła tak blado. Wszakże „Twardowski” to polski Faust, a nie czarnoksiężnik, lub inny jakiś tam pragnący złota szlachetka. On przeżywa w sobie wszystkie prądy XVI wieku a rozciekawiony tajemnicami przyrody, stawia sobie głębokie zagadnienia, które potem w ustach gminu zmieniają się w niedoścignione i niczem nie zaspokojone pragnienia.

Zawdzięczając swcim pracom i przekonaniom politycznem, Szujski w 1868 roku objął katedrę historyi polskiej, na którą go uniwersytet powołał, nadając mu równocześnie tytuł doktora filozofii. Odtąd zmuszony został ściślej zajmować się studyami systematycznemi, które mu zjednały szeroki rozgłos. Od czasu do czasu wydawał mniejsze prace, zebrane razem, jak „Roztrząsania i opowiadania historyczne” (Kraków 1876 r.) a w 1880 r. podręcznik do historyi polskiej zatytułowany „Historyi polskiej” treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście.

Podręcznik ten bardzo się różni od pierwszej edycyi „Dziejów polskich”. Wyjaśnia tu Szujski wiele kwestyi nierozstrzygniętych wcale. Metoda którą sobie przywłaszczył jest po większej części krytyczna i samodzielna, wprawdzie wyszedł on ze szkoły Szajnochy, wyrobił się na niej, ale wkrótce krytycyzm i niesłychany postęp, jaki jest właściwością naszego wieku zwrócił go na własną drogę.

Niezaprzeczenie i metoda Szujskiego przeżyje się wkrótce, zawsze jednak czem Długosz był dla XV w., Naruszewicz dla XVIII w., tem Szujski jest dla naszych czasów.

Jako profesor, Szujski na uniwersytecie krakowskim szczycił się znacznem uznaniem. Był to człowiek niesłychanie zdolny, obdarzony niepospolitą pamięcią. Wykłady jego jednak były dość suche, styl zawikłany utrudniał uwagę, ale gdy kto wysłuchał do końca prelekcyi, wtedy całość okazała się bardzo gruntowna. Jednym ze specyalniejszych wykładów Szujskiego stanowiły dzieje XVIII w., szczególniej zaś okres „trzech rozbiorów”.

Ci co słuchali tych wykładów, nie zapomną prędko wrażenia jakie wynieśli z auditorium, Szujski siedząc wykładał dzieje, mówił zwykle z zapałem, ręka zaś prawa wzniesiona do góry, gwałtownemi ruchami, zdawała się dopełniać całości.

W całej sali wówczas grobowe panowało milczenie. Nikt zdaje się nie śmiał odetchnąć, aby nie przerwać mówiącemu. A sala była przepełnioną. Pomiędzy młodymi ludźmi znalazło się wiele głów sędziwych, pokrytych białem jak śnieg włosem. Nie jedną ławę zajęli koledzy Szujskiego, profesorowie tego uniwersytetu dr. Smolka, Zakrzewski, Czerny, Bobrzyński i wielu innych. Do tonu prelekcyi nastrajała się i dusza słuchaczów.

Wszyscy zawsze współczuli z wykładającym a nie jednemu łzy zabłysły w oczach. Również chwilę nasuwała dziejopisowi charakterystyka listów Żołkiewskiego, pisanych do żony z pod Cecory.

Przy odczytywaniu jednego z tych ustępów, gdzie Żołkiewski przedstawia cały stan kraju, mówiąc, iż musi koniecznie umrzeć, bo tem tylko osłoni swój i ojczyzny swej honor, Szujski przedstawił tak silnie tę chwilę rozpaczną, że trudno było najtwardszej duszy nie zachwiać się nie wstrząsnąć boleśnie...

Wogóle jako profesor i przewodnik młodzieży Szujski wychował prawie nową szkołę historyków, u których bystry pogląd, znajomość źródeł i sumienna praca stanęły na pierwszym planie.

Odwzajemniając się za to swemu profesorowi w 1878 roku starsi jego uczniowie, na których czele stali zmarli już Droba i Mikrot, postanowili złożyć adres i wieniec srebrny w imieniu uniwersytetu.

Niedołężne jednak poprowadzenie sprawy, oburzyło egoistyczne umysły studentów medycyny i ci założyli protest.

Większość jednak przemogła i Szujski otrzymał adres w imieniu uniwersytetu z wieńcem złożonym mu przez studentów wydziału filozoficznego i jego słuchaczy. Działo się to właśnie w dziesięcioletnią rocznicę objęcia katedry historyi polskiej. Tegoż roku został Szujski powołanym przez senat akademicki na rektora uniwersytetu. Zaszczycony tą godnością, wypowiedział podczas aktu imatrykulacyjnego długą piękną mowę, której treść stanowiły zasady i życzenia profesora. Pięknie zakończył ją, odnosząc się do słuchaczów: „Wierzcie mi panowie, wyrzekł, że najmilej mi będzie słyszeć o was, przy jakim bądź chwalebnym czynie, żeście byli moimi uczniami.

Jako członek Akademii Umiejętności w Krakowie i jeneralny jej sekretarz pracował i tu wiele wydając bogate materyały do dziejów naszych od początku XVI wieku, pod ogólnym mianem „Scriptores rerum polonicarum”, które zaczęły wychodzić od 1871 roku. Oprócz tego był on członkiem towarzystwa nauk w Poznaniu i wielu innych. W ostatnich latach pracował już nie wiele, pisząc drobniejsze tylko artykuły do „Niwy” (warszawskiej) lub też „Przeglądu polskiego” a w 1882 roku wydał prawie ostatnią swoją pracę „Die Polen und die Ruthen” w ktorej wykazał stosunek Polaków do Rusinów. Do prac Szujskiego musimy zaliczyć pyszne jego przekłady greckich poetów, a mianowicie: dramatów „Eschylesa”, „Agamemnon”, „Promoteusz”, komedye Arystofanesa „Acharnowie” i „Rycerze” zamieszczone w „Bibl. Warszawskiej”.

Wogóle Szujski pracował bardzo wiele, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę pracę, jaką mu nasuwała historya.

Podkopane zdrowie już od 1879 roku zaczęło znacznie słabnąć, tak dalece, że zmuszony został do zaniechania na czas jakiś wykładów.

Wyjechał wtedy do Meran i przebył tam parę miesięcy. Wkrótce jednak powrócił do dawnej pracy a społeczeństwo na barki jego złożyło nowy ciężar. Został obdarzonym już po trzeci raz mandatem poselskim, z większych posiadłości w Sandeckiem.

Życie Szujskiego było zawsze bardzo czynne. Aż wreszcie chwili ostatnie nadbiegły szybkim krokiem. Gorączka coraz więcej wzmagała się, lekarze śledzili każdy jej krok ale nadaremnie. Dopiero na trzy godziny przed śmiercią Szujski odezwał się: „Bogu dzięki, jest mi lepiej, będę mógł jeszcze dwa lata pracować dla dzieci i kraju”. Były to prawie ostatnie jego słowa! Potem znużony zasnął i nieobudził się już więcej. Przy łożu śmiertelnym, oprócz żony, syna i dwóch córek pozostałych po zmarłym, nieodstępnym był i prof. Stanisław Tarnowski, szczery przyjaciel zmarłego.

A teraz żegnam cię drogi cieniu! Byłeś nam gwiazdą przewodnią, drogę obowiązku wskazywałeś w promieniach prawdy... cześć twojej pamięci!

Wiktor Czajewski.

Sonet noworoczny.

Szczęśliwi, którzy dzisiaj w ogólnym pochodzie,
Pierwsze stawiają kroki na drodze życiowej,
I śniąc o wiecznej wiośnie, o wiecznej pogodzie,
Jak zwiastuna dni jasnych witają Rok Nowy.

Szczęśliwi, którzy w obec klęsk i upokorzeń,
Nie upadli na duchu, w drodze nie ustali,
Lecz wyrwawszy z serc głębi samolubstwa korzeń,
Cel mają swój wytknięty i idą wciąż dalej.

Ale stokroć szczęśliwsi i podziwu godni,
Którzy z czystem sumieniem dobiegli do mety,
I z wiarą tem gorętszą, im świat bluźnił chłodniej.

Ci widząc kres pielgrzymki, nie mówią: „Niestety!”
Bo zbrojni swą zasługą i spoczynku głodni,
Bez trwogi w jasność wieczną przechodzą z planety!

Emilia.

ODWET.

KARTKA Z ŻYCIA

przez

E. ZORJANA.

(Dalszy ciąg.)

Dziś bankructwo, o którem z takim spokojem dawniej mówił, było faktem dokonanym. Męczyło go tylko oczekiwanie ostatecznej katastrofy, a przyspieszyć jej nie chciał, czy się obawiał. Żył jeszcze z dnia na dzień, ale to życie gorsze było niźli śmierć nagła a pewna.

Właśnie w tym czasie przyjechał do Lwowa stryj Wacława. Naturalnie odwiedził bratanka i przywitał go słowem, wcale nie pocieszającem:

— Ładnieś się spisał, nie ma co mówić, prędkoś się uporał z majątkiem. Długów tyle, że gdybyś miał drugie tyle majątku, tobyś ledwo z duszą mógł uciec.

Wacław słuchał milcząc.

— Stracić umiałeś, cóż teraz poradzisz? Pewno liczysz na czyją pomoc, może na mnie, że umrę niedługo, a nie mając ani żony, ani dzieci, tobie dam wszystko do stracenia... Ho, ho, ja to wiem, ja was znam panicze — gderał stary, więcej może z nawyczki do gderania, niż ze złego serca.

Wacław się niecierpliwił.

— Nie radziłem się stryja, jak stracić, nie proszę teraz o pomoc.

— Ah, to co innego, to prawda najzupełniejsza, widać, żeś już wszystko obmyślił.

Ale staremu przecie było markotno, czuł potrzebę wyłajania Wacława, chciał aby ten go prosił, byłby niezawodnie coś poradził, a pewno wziął by go z sobą na wieś. Lecz Wacław zbyt dobrze czuł własną winę, nie chciał prosić.

Rozstali się bardzo chłodno.

W dni kilka wszystko się skończyło.

W pięknem mieszkaniu Wacława zamęt był nie do opisania.

Zabierano, rzucano, wynoszono co tylko było wartościowego. Sprzęty znikały coraz bardziej, zdzierano obicia, firanki i portiery, zdejmowano

obrazy, rzeźby i przeróżne ozdoby, które Wacław lubił gromadzić. Na podłodze leżały wysypane z biórka papiery bez wartości, stosy listów i fotografii, stare rękawiczki, krawaty, obok potłuczonych szkieł i kotylionowych orderów.

Wacław był przy tem wszystkiem obecny. Nie patrzał na krzątających się żydów, a jednak zdawało się, że poczuwa się do obowiązku cierpiéć to za winę. Miałażby to być pokuta, którą sam sobie zadał? Któż może odgadnąć. Siedział pogrążony w zadumie na starogotyckim fotelu i więcej na jego twarzy widać było męstwa, niźli bólu.

Zbliżył się ktoś do niego i zabrał ten ostatni fotel. Oparł się o okno i patrzał dalej przed siebie. Zdawał się nie widziéć nic, a jednak...

Skoczył nagle i pochwycił za rękę któregoś z żydów, zdejmującego portret ojca ze ściany. Potrącił go na środek pokoju, zdjął obraz sam i powrócił na dawne miejsce przy oknie. To było wszystko, co z swej ruiny unosił.

W mieszkaniu zrobiło się cicho zupełnie. Zabrano już wszystko. Wacław został z portretem ojca, ale nie patrzał nań. Obaj zdawali się zadumani w tem pustkowiu, jak rozbitki.

A kto tu z nich winien?

Wacław uczuł na ramieniu lekkie dotknięcie.

Spojrzał przed siebie.

To był Bolesław.

Patrzał na niego dziwnie jakimś ciepłym wzrokiem, serdecznym i jak brat ściskał mu rękę.

— Ty?... — zapytał ścicha Wacław.

— Niech cię to nie dziwi, ani to nawet, że w tej chwili nie ma przy tobie nikogo z przyjaciół.

— Miałem ich zawsze przy sobie wielu. Tyś się nie zbliżał nigdy, zdawało mi się nawet, że mnie unikasz.

— A na co bym ci się był przydał?

Wacław potrząsł głową. Rozumiał teraz wiele, wiele życia.

— Ale, co tu myśléć o tem co było, co minęło. Nic się zresztą tak strasznego nie stało. Zdrów jesteś, a to najwięcej warte.

I jakoś tak mówił Bolesław gorąco, tak przyjacielsko, że Wacław zdawał się zapominać o tem, co zaszło. Lżej mu było na sercu, bo czuł, że miał przyjaciela.

— No, choć teraz — zawołał Bolesław.

— Dokąd? — zapytał, wracając do dawnego zamyślenia Wacław.

— Do mnie.

Popatrzył na niego.

— Do ciebie?

— Ależ naturalnie.

— Do ciebie... — powtórzył jak echo Wacław i po chwili objął przyjaciela i przycisnął do piersi.

Pierwszy to był przyjaciel w życiu.

— Dziękuję ci, byłem bezradny.

— Cóż to, żartujesz? — zapytał Bolesław wesoło — dziękujesz, jakbym ci istotnie jaką przysługę wyświadczył.

W milczeniu poszli.

Wacław nie żegnał mieszkania, w którem tak wesoło płynęło mu życie.

II.

W dwóch małych pokoikach, na trzeciem piętrze, mieszkali państwo Studzińscy. Troje ich tylko było, więc się mieścili wygodnie. Mąż, żona i córka. On był urzędnikiem miejskim, a choć już z górą lat 35 służył, nie mógł się dobić znaczniejszej płacy. Czy to, że nie odznaczał się wielkimi zdolnościami, czy że szkół wysokich nie kończył, czy wreszcie, że był cichy, nie narzucający się, nawet nie przypominający się nigdy, dość, że nie mógł dojść nawet do kilku tysięcy złotych rocznie. Cóż więc dziwnego, że dom ich był niezamożny, ale zawsze schludny i miły ładem, który panował wszędzie. Nawykli już do tego życia i nawykli do tej myśli, że im podobno lepiej nie będzie. Poco by się zresztą łudzić. Starzy byli, więc przyszłość dla nich nie istniała. A jeśli kiedy o niej myśleli, to wtedy tylko, gdy spojrzeli na swą jedynaczkę.

Ładne to było dziewczę. Dwudziesta wiosna krasiła jej rumiane jagody, czarne oczy świeciły żywym ogniem, a włos hebanowy bujnymi sploty spływał na ramiona. Zwinna i dowcipna, była jakby ptaszkiem, co świegotem ożywiał tę zaciszną klatkę.

— Helenko, Helenko, co ty się tak trzpiocczesz? — wołała matka wchodząc do pokoju z kuchni, gdzie była zajęta obiadem — wolałabyś wziąć się do jakiej roboty.

Helenka usiadła do fortepianu i zaczęła powtarzać nowy jakiś utwór.

— Co ty grasz nowego?

— Przygotowuję się do lekcyi.

Matka wyszła znowu. Helenka pracowała dalej, ale znać było, że to czyniła w tej chwili z musu jakoś. Udzielała lekcyi fortepianu. Trzeba było przygotować się dobrze.

Więc grała.

Ale myśl jej odbiegła gdzieś indziej.

— Że też mama tylko ciągle mnie do pracy odsyła, nawet chwili nie da wytchnienia. A to czasem tak męczy, osobliwie, gdyby się chciało pobujać fantazyą, albo napieścić kwiatkami

Helena lubiła kwiatki, lubiała pewno i marzenia, wszak dwudziesty dopiero liczyła rok życia. Lecz nie wiele jej na to zostawało czasu. W domu trzeba było pracować, na lekcyach także, to w chwilach od pracy wolnych często przychodziło zmęczenie. Wtedy musiała szukać odpoczynku, z marzeniami koniecznie było wziąć rozbrat. A gdybyż jeszcze ten odpoczynek można było znaleźć w domu. Niestety, Helena czuła to, często nawet bardzo jej przykro było, że matka tej potrzeby nie pojmowała, tylko zawsze jedno i to samo powtarzała.

— Czemu ty nic nie robisz, Helenko?

Przykro było Helence, tem przykrzej, że to przecież była matka, która swoje dziecko rozumiéć, kochać powinna. Wszakże Helenka i tak bardzo wiele pracowała, z jej rówienniczek, pewno żadnaby tem pochlubić się nie mogła. Uczyła młode panienki, kształciła się przy tem sama, haftowała prześlicznie jedwabiem i zarabiała tem nie mało. A z pracy ciągłej, nieustającej czasem głowa bolała, ręce bezwładnie opadały. Matka wiecznie milcząca, sztywna i niezadowolona, powtarzała wciąż jedno i to samo.

Ależ to znudzićby mogło.

A jednak Helenka była wesoła, żartobliwa i dowcipna, jakby jej się samo szczęście tylko uśmiechało.

Coś w tem musi być ukrytego.

Istotnie było coś ukrytego, ale między kartkami nut, które Helenka teraz przerzucała.

Ćwiartka papieru, nie różowa, nie wonna, a jednak pochwyciła ją Helenka z niedoopisania radością. Drobnym, a wyraźnym charakterem, było wypisanych kilka ustępów z najnowszych poezyi Konopnickiej, a u dołu drobniej jeszcze urywek inny. Helenka zawisła wzrokiem na tych właśnie słowach:

„Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę,
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę,
A jednak, gdy cię długo nie oglądam,
Czegoś mi braknie, kogoś widziéć żądam
I tęskne sobie zadaję pytanie,
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie...?"

A, gdyby to można opisać ten promień, który teraz wytrysnął z ócz, tę radość, która rumieńcem oblała twarz dziewczęcia. Lecz trwało to tylko chwilę. Drzwi od kuchni się otworzyły.

Helenka grała z całą uwagą, zwrócona ku nutom i klawiszom.

Matka przeszła się, jakby śledząc po pokoju, niby czegoś szukała i wyszła.

Helence wyrwało się mimowolne westchnienie.

W pół godziny potem przestała Helenka grać.

Zakrzątała się koło stołu; nakryła do obiadu, starła tu i ówdzie pył z sprzętów, poprawiła coś koło firanek i w sam czas była gotowa, gdy wszedł ojciec.

Podbiegła ku niemu, ucałowała go, za co dostała pocałunek w czoło i zapytała wesoło:

— Jak się tatko ma?

— Ot, jak zwykle, głodny jestem.

Nie zdziwiła jej wcale ta odpowiedź na serdeczne pytanie, przywykła już do tego od dawna. Zajrzała tylko do kuchni, czy matce nie możnaby w czem pomódz i za chwilę siedzieli wszyscy u stołu.

Po obiedzie ojciec palił fajkę, matka drzemała na sofce, a Helenka cichutko usiadła przy oknie i czytała.

Spokojnie, cicho, niemal martwo było teraz w mieszkaniu Studzińskich.

Takiem było ich życie już od dawna.

Co prawda nie wesołe.

Dla starych to wystarczało. Czy dziewczę młode nie zatęskniło kiedy do najmniejszej choćby odmiany?

Może, a może ją nawet znalazło.

Około godziny piątej przybył gość.

Był to znajomy nasz, Bolesław Trzaskowski.

Witali go, jak dobrze znajomego, codziennego gościa. On matkę z wielkiem uszanowaniem ucałował w rękę, serdecznie, a poufalej pozdrowił ojca; panna mu rączkę podała, którą gorąco uścisnął.

— Jakże się łaskawi państwo miewają? — zapytał.

— Pani dobrodziejka? — dodał, zwracając się do matki.

— Dziękuję, dość dobrze.

— Jakże zdrowie, mówił mi pan wczoraj, że pani trochę cierpiąca.

— Zwykły ból głowy.

— Ale już przeminął? — mówił Bolesław dalej, pytając.

— Prawie.

Dziwna tam panowała atmosfera, chłód zdawał się wiać jakiś nieprzyjemny. Wszyscy byli milczący. Ojciec nie przywykł wiele mówić, bo go żona zaraz nagabywała, że gada bez sensu, matka najczęściej chora i niezadowolona, wyglądała jakby żal miała do losu. Jedna tylko Helenka, radaby mówić jak najwięcej, ale się bała matki, która jej najczęściej przerywała:

— Ty bo byś tylko ciągle gadała.

Wówczas Helenka milcząc spuszczała oczy i czekała, aż ją znowu kto zagadnął. Najczęściej czynił to Bolesław.

On jeden pracował za wszystkich. Opowiadał wszystkie nowiny, zapytywał, zapytywany objaśniał, odpowiadał obszernie, słowem znać po nim było, że pragnął choć trochę ożywić towarzystwo. Prawda, że będąc prawie codziennym gościem, mógł był już poznać państwa Studzińskich dokładnie i to mu tę pracę ułatwiało; alež znowu tak codziennie bawić znudzoną panię i milczącego pana, to mogło zmęczyć najsilniejszego.

A jednak on trwał w tej pracy, za całą nagrodę i zachętę zarazem mając tę myśl, że tem sprawi przyjemność Helence, a co ważniejsza, że to jedyny sposób mówienia także z nią, patrzenia w jej piękne oczy. Chętnie się poświęcał, byle być przy Helence, w której, jak łatwo odgadnąć kochał się.

— Wczoraj pan na nas nie był łaskaw,—zapytała Helenka z wyrzutem — tak z upragnieniem czekałam na książkę, którą pan przyrzekłeś.

Bolesław rozumiał, że to jego bardziej pragnęła Helenka widzieć, jak książkę.

— Ani dziś jej nie przyniosłem. Proszę mi wybaczyć, miałem wczoraj bardzo ważny obowiązek do spełnienia.

— A to jaki? — zapytała pani.

— Wprowadziłem do siebie gościa, któremu z całą przyjacielską opieką się oddałem.

— Czy znamy go?

— Owszem. Z nazwiska i poniekąd z moich opowiadań, to Wacław Jušciński.

— Ah! — zawołali wszyscy.

Bolesław opowiedział wszystko.

— Jaki pan jesteś dobry — zawołała Helenka z żywością.

Matka popatrzyła na nią sucho.

— Jestem najmocniej przekonany, że mój chory wyleczy się niedługo zupełnie. Cieszyłbym się bardzo, gdyby się podniósł i pracą wybił na wierzch. O ile go znam zasługuje na to i potrafi. Na takie wychowanie, jakie odniósł i warunki życia, w których go porzucono zawcześnie, bez przewodnika, nie było innej rady, jak ostateczną katastrofą oprzytomnić go. Bolesne to niezawodnie, ciężkie w pierwszej chwili, ale zbawienne.

— Gorliwie się pan nim zajmujesz — wtrąciła pani.

— Zdaje mi się, żem tak czynić powinien. On nie ma nikogo.

— Lecz i pan nie miałeś nikogo, coby ci pomógł, a przecie on byłby się nie poczuwał do obowiązku podania panu dłoni — ciągnęła sucho dalej.

— Był mi zawsze życzliwym. A zresztą, między mojem, a jego położeniem, to wielka różnica. Ja od pierwszej chwili byłem pozostawiony samemu sobie, więc też wcześnie nawykłem do pracy i ona dla mnie chlebem powszednim. On wychował się w innych warunkach, o pracy nie ma pewno pojęcia. Cóż mi to szkodzi, że go wesprę czy radą, czy doświadczeniem, pouczę, jak to przebijać się przez życie. Największą dla niego w tem położeniu pomocą jest życzliwość, serce przyjacielskie, które nie pozwoliło myśléć o rozpaczy.

— Przyznaję się otwarcie, że podziwiam w panu tę życzliwość, dla kolegi, któryby dla pana pewno takim nie był w podobnem położeniu — odezwała się znowu pani Studzińska.

— Albo to wy go z jego dobroci nie znacie?— wtrącił Studziński.

— Dziękuję za pochwały. Nie zasłużyłem na nie — odpowiedział skromnie Bolesław.

— Ale wracając do Wacława, powiem państwu, że się w pierwszej chwili obawiałem o niego. Pamiętam, raz gdym był u niego, mówili z drugim kolegą o bankructwie. Z okropnym chłodem i spokojem powiedział wówczas, że gdy wszystko straci, zastrzeli się.

— Taki młody człowiek — odezwała się w pół z podziwem, pół ze strachem Helena.

— Czyś mu pan to teraz przypomniał? — zapytała pani.

— Niechże Bóg broni. Ale wspomnienie tych słów jego, kazało mi być przy nim. Oto jedna z pobudek, dla których pospieszyłem do Wacława, a następnie wziąłem go do siebie. Byłem ciągle przy nim. A kiedy o szarej godzinie siedzieliśmy przy sobie, jak przyjaciele, ścisnął mi dłoń i powiedział:

— Bałeś się mego samobójstwa?

Nie odpowiedziałem nic.

— Myślałem niegdyś, że tak zrobię — ciągnął dalej — wiesz, dziś nie miałbym siły.

Nie wiem, czy widział smutek na mej twarzy, bo zawołał wesoło:

— Nie obawiaj się, żydzi zabrali nawet rewolwer.

W słowach tych przebijał jeszcze ból. Powoli uspokajał się, a dziś już mówiliśmy o tem, czemby się najlepiej zająć.

— Sądzisz pan, że mu się uda znaleźć jakie zajęcie?

— Owszem, prawie pewny tego jestem. Wacław ma wiele zdolności. Dawniej rysował wiele i z zamiłowaniem. Kilka nawet projektów architektonicznych bardzo się znawcom podobało. Mam nadzieję, że u każdego z naszych architektów znajdzie pracę. Mówiłem już nawet ze znajomym w biórze technicznem.

— Szczerze się pan nim zajmujesz.

— O ile mogę.

— Ale, czy wart on tego?

— Sądzę, a dla przekonania państwa pragnąłbym go nawet kiedy tu przyprowadzić. Czybyście państwo tylko pozwolili? — pytał prosząc.

— Skoro go pan tak zachwalasz.

— Przyzna mi pani po poznaniu słuszność. Do tej prośby skłania mnie i to jeszcze, że wiem, jak zbawiennie na niego wpłynąć może nowe, nieznane mu towarzystwo, w którem znajdzie zapomnienie dawnego szumu i bogaty pokarm dla schorzałej duszy.

— Widzicie go, jakie nam komplimenta prawi — zawołała z uśmiechem zadowolenia pani — byle tylko przysłużyć się swemu Benjaminkowi.

— Tego mi pani za złe nie weźmie, że komuś dobrze życzę, a komplementem proszę nie nazywać słów prawdy.

Bolesław zabawił do godziny dziewiątej, poczem, jak zwykle pożegnał Studzińskich i powrócił do domu.

Takiem było ich życie.

Dzień podobny do dnia, bez zmian i wypadków. Czy byli z tego zadowoleni, któż wiedziéć może. Może nawet o tem nie myśleli. Osobliwie starzy. Dla tych teraźniejszości nie było. Wegetowali jakoś, ale podobni byli raczej do śpiących w letargu, niż do żyjących.

Za to Helenka i Bolesław żyli życiem podwójnem: teraźniejszością i przyszłością. Teraźniejszość liczyli na spojrzenia, półsłówka i westchnienia czasem, przyszłość malowali różowo, wierzyli w nią i tęsknili do niej.

Bolesław wracał do domu.

A któż on był?

Powiedzieliśmy już, że był w szkołach kolegą Wacława, że był biedny, lecz widzieliśmy zarazem, że był młody, pełen nadziei, że wierzył w przyszłość, którą miał zdobyć pracą. Dla braku funduszów przerwał studya, a zniewolony szukać utrzymania, przyjął pracę w biurze technicznem. Był pracowity, ztąd też ceniony i lubiony, ale jakoś mu się nie wiodło i ani awansu, ani tak potrzebnego podwyższenia płacy nie mógł się doczekać. Przyrzekali mu często, zapewniali nawet, ale jakoś wszystko to kończyło się obiecanką. Inni szli naprzód, lecz Bolesław tłomaczył to sobie, że oni zasłużyli na to pracą czy zdolnościami, skromny był i nie przeceniał się nigdy. Nie tracił zresztą ani fantazyi, ani nadziei. Pocieszał się i mówił: jakoś to będzie. Nie była to lekkomyślność, lub niedbanie o przyszłość, ale wiara w słuszność i wielka cierpliwość.

Jeżeli ta przyszłość troszczyła go kiedy i często zawody smuciły, to jedynie dlatego, że w jej polepszeniu upatrywał szczęście. Szczęście to, o którem marzył widział pięknem, bardzo pięknem, bo dzielonem z ukochaną Helenką. I nie dziwmy się wcale młodemu marzycielowi, że pragnął skromnego kącika, byle własnego, byle w nim móc żyć z tą, którą chciał nazwać żoną.

Skromne, ciche to były marzenia, a wiara w ich urzeczywistnienie była życiem Bolesława; ona koiła rany i bóle, które odnosił w życia zapasach, ona go karmiła wróżbą lepszej, szczęśliwej przyszłości.

(*D. c. n.*)

JAROSŁAW VRCHLICKI

i jego tragedya

„DRAHOMIRA".

Napisał

Zenon Przesmycki.

(Dokończenie.)

Zbyt niedyplomatycznie postępowała Ludmiła i z całem pogaństwem, którego głównym przedstawicielem jest Wietrusz. Zapominała, że religia to nie jest coś, co się odrzuca, jak łachman niepotrzebny; że każdy ceni swą wiarę, jest do niej przywiązany, uważa ją za dobrą i w miarę przeciwności tem goręcej ją kochać zaczyna. Nie rozumiała tego, że zbyt gwałtownem postępowaniem można doprowadzić pogan do szaleństwa, można z nich zrobić demonów, nie cofających się przed niczem, aby tylko pomścić wszystkie zniewagi wyrządzone ich religii. Taką szatańską demoniczną postacią zrobił Wietrusza brak dyplomacyi ze strony Ludmiły. Śród okazałych gajów swej świętej ojczyzny:

Gdzie przez wierzchołki dębów stuwiekowych,
Ukradkiem blaski wpadały zachodu,
Gdzie świętych ptaków rój wolno ulatał,
Gdzie przez gnijące olbrzymie pnie drzewne,
Zdrój święty toczył pieniste swe fale,
Gdzie w skałach dawnym olbrzymom podobnych,
Stały posągi bogów nieśmiertelnych;

tam Wietrusz był poganinem z przekonania, kochającym gorąco wiarę ojców swoich, lecz nie czującym jeszcze tej szalonej nienawiści do chrześcian jaką zbudziło w sercu jego gwałtowne postępowanie Ludmiły. Tutaj staje się zaciekłym fanatykiem, chcącym bądź co bądź, jakiemikolwiek środkami zemścić się strasznie, krwawo, piekielnie na świętokradcach śmiących lżyć jego bogów. Znalazłszy w Drahómirze naturę odpowiednią do swoich planów, staje się odtąd jej złym duchem, nie daje jej się opamiętać, pcha ją naprzód, przytłumia w jej duszy wszystkie lepsze popędy. Gdy Drahomira podczas oblężenia w Kazinie uczuła się poruszoną słowami modlitwy, odmawianej przez synów:

„Boże, ty nam odpuść,
Jak my odpuścim naszym winowajcom."

Wietrusz wyszydza gorzko to jej wzruszenie:

My im odpuścić? O piękna zasada!
. . . .
Idź-że więc teraz i odpuść Ludmile,
Że od małżonka ciebie oderwała!
Że między serce twoje tak gorące
A serca dzieci twoich tak niewinne
Powiała mroźnem tchnieniem innej wiary!
Odpuść jej zatem, że z głowy koronę,
Która przed niebem tobie się należy,
Ściąga ci! Stań się zatem chrześcianką!

I tak naprzemian szydzi i przypomina jej obowiązki względem bogów, aż w Drahomirze rozbudza się cała dawna zaciekłość i nienawiść dla chrześcian.

A z jak szatańską radością zwiastuje Drahomirze schwytanie posłów Ludmiły:

O świetne łowy dzisiejsze i dzień też!
Obfita zdobycz! sęp, jeleń, wieprz dziki,
Ryś z okiem lśniącem jak blask stali nagiej,
Wszystko to fraszki! coś lepszego mamy!
Tu na tym szmacie
(podnosi pergamin),
słuchaj, księżno pani,
Tu ziemię czeską sprzedaje Ludmiła,
Nie tylko ziemię, lecz ciebie z synami,
Tron, Pragę, nawet i Wyszogród stary,
Wszystko sprzedaje za nic Ptasznikowi!

A potem, wiedząc, że w poselstwie byli też Wacław i Bolesław, nic o tem nie mówi Drahomirze, bo:

Miłość macierzyńska
Jest ślepa — jeszcze i w ostatniej chwili
Mogła by wyrwać mi z rąk moją zdobycz!

Jak szatańską radością wybucha — w Kazinie, gdy mówi:

Powiodło mi się lepiej niż myślałem!
W swym sprawiedliwym gniewie nie kazała
Mi stawić więźniów przed swoje oblicze,
Lecz potępiła ich wszystkich! Wybornie!

On wie, że Drahomira, znana mu dobrze ze swej gwałtowności a wzburzona poselstwem, zamorduje Ludmiłę. Pozostaje więc tylko pozbyć się Bolesława i Wacława, a zginą wszyscy stronnicy chrześcianizmu i pogaństwo znowu zakwitnie, jak ongi. To też szalonem uniesieniem brzmią jego słowa:

Teraz w mej ręce głowa tego gadu,
I ja ją zdepczę!

Wietrusza, zaiste, nazwać można szatanem, stróżem, złym duchem Drahomiry: on ją doprowadził aż do samobójstwa, a wszystko to dla swojej idei, dla przywrócenia pogaństwa. Gdyby Drahomira przyjęła wiarę chrześciańską, Wietrusz postarałby się tak usunąć ją z drogi, jak usunął Ludmiłę i chciał usunąć Wacława i Bolesława.

Postać to o wysoce ponurym i groźnym kolorycie. To wcielona idea rozpacznie broniącego się, nie przebierającego w środkach, a pomimo to ginącego pogaństwa.

Radsław, czwarta główna postać w tragedyi, sam się określa, mówiąc do Pawła:

Patrz, księżę Pawle, jam Radsław ze Zlicka!
Stary poganin, choć młody wojwoda!

A potem w rozmowie z Drahomirą:

DRAHOMIRA.

Czyś gotów zawsze być moją obroną?

RADSŁAW.

Zawsze, dopóki prawo będzie z tobą.

Istotnie jest to stary poganin, który wolał się narazić na niełaskę księcia Wratysława, niż rzucić wiarę ojców, a to nie przez fanatyzm, nie przez nawyknienie, lecz w skutek wyrozumowanego przekonania, że tylko przy tej wierze Czechy istnieć mogą a przyjmując chrześciaństwo, wpadną w ręce Niemców. I w rzeczy samej, ówczesne zachowanie się duchowieństwa, utrzymującego ciągłe stosunki ze swemi metropoliami w Niemczech, usprawiedliwiało poniekąd taki pogląd.

Radsław jest człowiekiem stałych przekonań, obdarzonym potężną siłą woli. Ma on na celu dobro kraju i poświęca dlań nawet swe osobiste uczucia, lecz dobro kraju, jego zdaniem, jest nierozłączne z możnowładztwem, którego bronić uważa sobie za święty obowiązek. Drahomira znów widziała jasno złe strony podziału kraju na mnóstwo prawie niezawisłych państewek, widziała, że władza prawie niemożliwa w takiej ziemi, a przytem dumę jej oburzała zbytnia pewność siebie magnatów czeskich, ona by chciała, żeby oni „na Wyszogród tylko, jak na słońce z prochu poglądali trwożliwie."

Oczywiście zetknięcie się takich dwóch potężnych charakterów wręcz z przeciwnemi poglądami musiało sprowadzić katastrofę, której ofiarą padła, jak tutaj, Drahomira.

Dla uzupełnienia charakterystyki osób występujących w „Drahomirze", wypada mi jeszcze wspomnieć o Palhoju. Jest to epizodyczna postać, gaduła, pijak, mająca na celu osłabienie zbytniej grozy obrazu, a której znaczenie wybornie określają własne słowa Drahomiry:

Dziwna to losów igraszka,
Że gdzie dwa światy ścierają się z sobą,
Zawsze się zjawi jaki śmieszny karzeł,
By koniec nie był zanadto tragiczny.

Z krótkiego tego, w wielu miejscach bardzo niedokładnego rozbioru, czytelnik może sobie jednak uprzytomnić wspaniałą budowę i mistrzowskie szczegóły tej tragedyi.

Ścierają się tutaj różne światy: pogaństwo z chrześciaństwem i możnowładztwo z jedynowładztwem. Wyrazem pierwszego i ostatniego jest Drahomira. Jest ona jakby skałą, potężną wprawdzie i wyniosłą, lecz w którą z dwóch stron dwa prądy biją. Nie może się też ostać, musi upaść, lecz upada z honorem i demoniczną potęgą swego charakteru aż do końca zyskuje naszą sympatyę.

„Drahomira" jest tragedyą zupełnie różną od płodów francuzkiej muzy dzisiejszego wieku, do których nawykliśmy. Tu walczą dwa światy, wynik tej walki wszystkich obchodzi, w dzisiejszej zaś szkole ścierają się tylko pojedyńcze idee obchodzące oddzielnych ludzi, oddzielne ich klasy, lecz bynajmniej nie narody, a tem bardziej nie ludzkość całą.

Świat poczyna się już nieco przesycać owemi doktrynami wygłaszanemi pod pokrywką dramatu lub tragedyi. Parę ostatnich dramatów francuzkich, cieszących się wielkiem powodzeniem na scenach teatrów paryzkich, jasno świadczą o zmianie kierunku w literaturze dramatycznej. Wobec tego, nadzwyczaj interesująco przedstawia się tylko co rozebrana przez nas tragedya Jarosława Wrchlickiego. Daje nam ona to właśnie, o co próżno wołaliśmy tak długo:

„Mniej doktryny, więcej życia!"

POGADANKA.

Każdy wypadek, w chwili, w której wydarza się, zdaje się nam bardzo ważnym, ale roztrząsany po upływie choćby tygodnia przedstawia się często zupełnie inaczej. Czas stanowi pewne kryteryum w rzeczach, czy to historycznej, czy też społecznej doniosłości, daje możność namysłu, uspokaja namiętności, jest ojcem rozwagi, której brak tylko szkodę przynosi.

Pod wrażeniem chwili sądzi się wszystko inaczej — przedewszystkiem nie często jest się ślepym i głuchym na prawdę.

Nie darmo to wołał J. U. Niemcewicz w jednej z swych bajek:

„O święta prawdo! mieszkaj zawsze z nami,
Ciebie my ślubem wzywamy życzliwym,
Niechaj nas twoja pochodnia oświeca,
Niech błąd niezgody w pośród nas nie wznieca.

Tym razem słowa te podyktowało nam zastanowienie się nad ważnym bardzo, a smutnym objawem w naszem dziennikarstwie. Kto tylko uważnie rozczytuje się w czasopismach naszych warszawskich i prowincyonalnych, spostrzegł niezawodnie wzrastającą od pewnego czasu chętkę do gryzków polemiczno-satyrycznych. Nie chcemy bynajmniej głosować za zupełnem usunięciem polemiki. To niepodobna, zdania nie mogą się nigdy zupełnie zgadzać, zasady i przekonania rozbiegają się często wprost przeciwnych kierunkach. Lecz idzie tu o rzecz łatwiejszą do osiągnięcia, a konieczną.

Rzeczą tą drobną na pozór, jest przyzwoitość i grzeczność w sprzeczkach gazeciarskich.

Grzeczność nie jest rzeczą błahą ani małą, powiedział Mickiewicz, trzeba się jej uczyć długo, lecz niemniej nas obowiązuje. Jeżeli jej wymagamy od ogółu ludzi, ileż bardziej surowi powinniśmy być w wymaganiu tem, gdy idzie o literatów.

A jednak fakta dowodzą, że wielu przeciw tej zasadzie grzeczności grzeszy. Polemiki prowadzą się już często nie w imię zasady, lecz dla samej kłótni, dla zgnębienia przeciwnika i zmiażdżenia wobec czytających. Taktyka to fatalna, bo trafia jak miecz obosieczny w walczących. Obie strony na tem cierpią a cierpią nawet ci, którzy wcale w sporach tych nie biorą udziału, bo przez tego rodzaju szermierki dyskredytuje się wobec czytających całe piśmiennictwo.

Fakta na których opieramy nasze twierdzenia, nie są bynajmniej odosobnione. Nie chcemy ich wymieniać unikamy podobnych spraw zawsze, wiedząc iż one nigdy dobrych owoców nie wydadzą.

Poruszyliśmy wszakże tę kwestyę dlatego, że stała się powodem do projektu założenia w Warszawie koła literackiego. Oprócz innych celów, miałoby „Koło literackie" i cel godzenia waśni osobistych, niedopuszczania, aby się przedostawały, aż w łamy pism.

Miejmy nadzieję, że projekt wobec gwałtownej potrzeby i usilnych starań przyjdzie do skutku.

Zostawmy literatów, a przejdźmy w sfery maluczkich, w których się także literaturą zajmują. Ileż to starań robiono, aby lud nakłonić do czytania, rozdawano książki i pisma darmo, sądząc, że ubóstwo i wrodzona wieśniakowi oszczędność stoją na przeszkodzie szerzeniu światła. Środek ten nie okazał się dobrym. Przekonano się, że tylko ta książka wywrze wpływ na wieśniaka, którą sam kupi, a tem samem będzie ją musiał czytać, aby przecież grosz jego nie był na marne rzucony.

Zamiłowanie do książek wzrasta u ludu, powoli wprawdzie, lecz nie odrazu Kraków zbudowany. Oto fakt, godny zaznaczenia. Powinniśmy go zapisać złotemi głoskami.

Zebranie gminne w Nidrzwicy, w powiecie lubelskim uchwaliło założyć ze składek w gminie czytelnię!

Ileż to wiary wlewa w ten lud, ile pozwala pięknych rokować nadziei? Zresztą nie wątpiliśmy ani na chwilę o wartości moralnej naszego ludu, trzeba mu tylko przewodników, którzyby ciągle jego dobro mieli na oku. I takich nie brak, bo oto drugi fakt zapiszemy.

Ksiądz Momontowicz założył pierwszy sklep w osadzie Drzewicy, a spowodowała go do tego głównie chęć uwolnienia włościan od wyzyskiwań przekupniów. Sklep ten będzie kupującym dostarczał towaru dobrego, a niezawodnie znacznie taniej, aniżeli to dotąd otrzymywali.

Takich księży oby było więcej!

Na każdem polu potrzeba ludzi gorliwych, chętnych do pomagania tym, którzy istotnie potrzebują pomocy.

W pismach codziennych spotykamy głosy, wzywające do niesienia pomocy uczącej się młodzieży. Może nie wszystkim wiadomo, że obecnie wpisowe podwyższono z 15 na 20 rubli, a tu zamożność młodzieży wcale się nie powiększa. Do nauki garną się gorliwie, gdy przychodzi pora zapłacenia taksy ciężka troska osiada na czołach młodzieży biednej, a żądnej nauki. Dziś więc bardziej aniżeli kiedy zachęcamy naszych czatelników do nadsełania, choćby drobnych datków na wpisy. Ziarnko do ziarnka, uzbiera się miarka. Z datków, na które bez ujmy będzie się mógł każdy zdobyć, złoży się suma, która niejednemu uczniowi zapewni możność korzystania z nauki, a tem samem i przyszłość.

Kilka jeszcze projektów w części pewnych, w części dopiero rzuconych.

Oto warszawskie towarzystwo dobroczynności ma założyć filię, która się zajmie usunięciem żebractwa. Na utworzenie osobnego stowarzyszenia, jak to gdzieindziej istnieje, zbyt wieleby trzeba czasu, a to sprawa, która nie powinna iść w odwłokę.

Usunięcie żebraniny ulicznej podwójny ma cel. Na pierwszem miejscu leży bezwątpienia chęć uchronienia prawdziwie biednych od ostatecznej nędzy, a wyzyskiwaczy miłosierdzia publicznego zmusić do pracy.

Domy pracy za granicą są najlepszym dowodem, że przy umiejętnem kierownictwie da się wiele sił zużytkować, które dotąd zupełnie marniały a więc żyć musiały pracą innych.

Drugi projekt trochę odleglejszy, nie sądzimy, aby mógł rychło wejść w wykonanie. Idzie tu o zrobienie rzeczy wielkiej, olbrzymiej doniosłości, lecz trzebaby wpierw zwalczyć przekonania, przesądy i upór.

Mamy tu na myśli projekt podany przez „Alliance Israelite", żądający przeniesienia sabatu na niedzielę. Powody takiego żądania są bardzo ważne, w Ameryce dawno już to nastąpiło, a w Warszawie pracują już nad tem podobno dwaj gorliwi propagatorzy.

Potrąciliśmy o Amerykę. Nie chcemy tu mówić jaki wpływ ona na Europę wywiera, ale to pewna, że z nią coraz bardziej jesteśmy związani. Liczba wychodźców nie zmniejsza się wcale, owszem wzrasta nawet i coraz to nowe osady polskie powstają w Stanach Zjednoczonych.

Jednym daje Ameryka bogactwa, innym rozgłośną sławę, innym zaledwie chleb codzienny i to zapracowany ciężko. W pośród coraz cięższej walki o byt, nie zapominają tam o kraju rodzinnym, pomimo olbrzymiego przedziału lądami i oceanami.

Na te stosunki zwracamy uwagę głównie z powodu artykułu, jaki jeden z wychodźców pomieścił w „Frank Leslies" o smutnem położeniu Polek w Ameryce. Ale z opowiadań tych, którzy długie lata w Stanach Zjednoczonych przebywali, pozwolilibyśmy sobie sądzić inaczej. Krzepią tam ducha jak mogą; teatra amatorskie, zebrania, a wreszcie pisma są silną dźwignią.

Przed rokiem niespełna, czytaliśmy list prywatny jednego z naszych kapłanów, który się gorliwie zajmował nowozałożoną osadą polską w Ameryce. Jakże rzewne to było malowidło! A jednak ani jednego dyssonansu tam nie spotkaliśmy. Wiara opromieniała słowa tego pasterza, który był ojcem duchowym gromadki, cisnącej się w niedziele i święta do kościołka, skleconego z desek, gdzie całą ozdobą był krzyż drewniany. We Lwowie zebrano trochę książek, przyborów kościelnych, nauczycielki szkoły imienia Czackiego kupiły kociołek miedziany na wodę święconą, p. Moser ofiarował dzwon niewielki i posłano to wszystko w darze dla osady. Po upływie kilku miesięcy czytaliśmy list drugi, opis nabożeństwa w przystrojonym kościołku i życia osady, dla której książki z kraju przysłane były skarbem prawdziwym. I znowu ta sama rzewność wiała z listu, ale pomimo całej szczerości, z jaką był pisany, nie dopatrywaliśmy się śladu skargi.

A jeśli dodam, że w długich rozmowach z rodakiem naszym Julianem Horainem, który część życia przepędził w Stanach Zjednoczonych i w życiu polskich osad żywy brał udział, wypytywałem się o najdrobniejszy szczegół dotyczący stosunków Polaków i Polek w Ameryce, to pozwolą Czytelnicy, że stanowczo odeprę zarzuty wpomnianego artykułu.

Mamy wiarę w naszą siłę moralną, która i po za oceanem nie zmniejsza się, a co do kobiet, to wiara ta jeszcze jest silniejszą. One pielęgnują rodzinę, one w zaraniu życia grzeją serca młode i karmią duszę i wierzymy, że zatrutego dziecięciu nie dadzą pokarmu.

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

F. E. Raynal. Rozbitki, albo dwudziestomiesięczny pobyt na wyspach Auklandzkich, opowieść prawdziwa. Wydanie drugie, Warszawa 1883 rok.

W drugiem już wydaniu i nader starannym tłomaczeniu, firma M. Orgelbranda daje naszej dorastającej młodzieży, nadzwyczaj zajmującą i pouczającą książkę, treść której stanowi opis 20 miesięcznego przymusowego pobytu na wyspach Auklandzkich. Opowiadanie całe budzi wiele zajęcia, tak ze względu na część opisową jak i część dramatyczną, a nadto obznajamia czytającego z wielu nieznanemi szczegółami dotyczącemi geografii, botaniki i zoologii miejscowej. Wydanie jest bardzo staranne a drzeworyty zdobiące te dziełko są z prawdziwym artyzmem wykonane.

H. Wagner. Podróż naukowa po pokoju, odbyta z młodymi przyjaciołmi. Wydanie drugie, Warszawa 1883 r.

Ileż to ciekawych i nauczających rzeczy znajduje się w pokoju, który zamieszkujemy, ileż to godzin, dni całych spędzić możemy na badaniu ich? Otóż na wszystko to co w pokoju się znajduje zwraca uwagę H. Wagner i w miarę opisywanych przedmiotów zaznajamia młodych przyjaciół z fizyką, botaniką, zoologią, mineralogią, hygieną, optyką, technologią i t. d. a wszystko to nakreślone jest z wielką znajomością rzeczy i tak barwnie i przystępnie, że „Podróż naukowa po pokoju" z wielkiem zajęciem i korzyścią przez młode pokolenie czytaną być może. Liczne objaśniające drzeworyty wykonane bardzo sumiennie uzupełniają tę pracę.

Schmidt Oskar. O zwierzętach, przetłomaczył Dr. S. Kruszyński docent zoologii w szkole rolniczej w Dublanach, z rycinami. Lwów 1882 r.

Skromne rozmiarami dziełko prof. Schmidta, przyswojone naszej literaturze przyrodniczej nie małe ma znaczenie, nie wychodząc bowiem z zakresu popularnego, toruje drogę umiejętnemu wykładowi przedmiotu. Literatura nasza jak dotąd dziełka tego rodzaju nie posiadała, brak ten uzupełnia obecnie sumienny i umiejętny przekład D-ra Kruszyńskiego.

W nadzwyczaj popularny a zarazem i zajmujący sposób prof. Schmidt przedstawia nam tak budowę jak i życie zwierząt, dzieląc takowe na działy kręgowców, mięczaków, robaków, dalej opisuje budowę i życie owadów.

Rzecz cała objaśniona licznemi drzeworytami

przedstawia się jako całość wielce pożyteczna i nader pomocnicza przy wykładach zoologii.

Niemojowski Ludwik. Gawędy. Warszawa 1883 rok.

Sporą książką obejmującą 72 gawęd, obdarzył nas p. Lud. Niemojowski, za co należy mu się uznanie, tem bardziej, że znaczna część tych gawęd rozproszoną była po różnych czasopismach, dziś zaś zebrane w jedną całość dają nam świadectwo o talencie i dobrych chęciach pana Niemojowskiego. Gawędy, których treść poczerpnięta jest z tradycyi minionego wieku, czytają się z przyjemnością nadając się dla młodzieży do deklamacyi, a chociaż niejednokrotnie szanowany autor posiłkuje się wyrazami jak: *zsierdził, zgwarzyć, trefować, okęszać. dochrapiał* i t. d. to jednak gawędy jego nie są pozbawione uroku i ciepła ojczystych tradycyi.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Jeden z najgłośniejszych kompozytorów niemieckich, Ryszard Wagner, zakończył życie w Wenecyi, 13 b. m. Śmierć nastąpiła skutkiem paraliżu serca. Urodził się w Lipsku 1813 r. dnia 22 maja, miał więc prawie 70 lat. Nauki pobierał w Dreznie i w Lipsku, a pierwsze wykształcenie muzyczne zawdzięczał słynny maestro kantorowi szkoły św. Tomasza, Weinting'owi. Trudności techniczne odstręczały go jednak od gry fortepianowej, w której też do końca życia nie celował bynajmniej. Nauki pobierane w uniwersytecie szły mu łatwo i uczył się chętnie, był to umysł wrażliwy, temperament gorący. Nie odrazu obrał zawód artysty-muzyka, powodzenie sprzyjające jego wypracowaniom literackim, zwracało go początkowo na drogę piśmienniczą jako dramaturga-poety, zaczął więc pisać tragedye, które jednak nie dały mu sławy. Dopiero gdy zamieszkał z matką w Lipsku, porwany wirem życia muzycznego na długo porzucił literaturę, całkiem niemal oddając się muzyce. Z owych czasów pochodzą: sonata, polonez, uwertury i symfonie. Najsławniejsze jego utwory są opery: „Rienzi", „Tannhausser", „Lohengrün", „Pierścień Niebelungów" i „Percival". W r. 1848 mianowany został kapelmistrzem nadwornej opery saskiej, w 1848 r., jako biorący czynny udział w rewolucyi, zmuszony był opuścić kraj i w Szwajcaryi szukać schronienia, dopiero w 1863 r. otrzymał pozwolenie powrotu do kraju. Znany protektor jego i przyjaciel Ludwik król bawarski, w 1864 r. mianował go jeneralnym intendentem muzyki w Monachium, otaczając zarazem dostatkami i uznaniem. Od 1872 r. Ryszard Wagner, syt sławy i pomyślności zamieszkał w Baireuth, gdzie w umyślnie zbudowanym teatrze, wystawił sławną Trylogię swoją i Persival'a. U nas z oper Wagnera przedstawiony był jedynie „Lohengrün", a od dość dawna zapowiadają przedstawienie „Tannhauser'a". Symfonie i częściowe ustępy z oper, wykonywane były przez przybywające do Warszawy orkiestry za graniczne.

*** Od dość już dawna „Przegląd katolicki" zamieszcza „Notatki z prasy peryodycznej" oto co czytamy w Numerze 7 z okoliczności artykułu w „Roli" p. n. „Na posterunku" w którym powiedziane jest odnośnie do żydowskiego wyzyskiwania: „Walka o byt, to nie pieśń przebaczenia i wspólnej miłości, bo to obrona wyzyskiwanych przeciw wyzyskującym."

„Walka o byt jako określenie wzajemnego stosunku istot żyjących w naturze, z których każda, zachowując swoje istnienie wchodzi w starcie z innemi zagrażającemi w czemkolwiek temuż jej istnieniu, przeniesiona została przez darwinistów i do stosunku świata ludzkiego, jako jedna z norm jego życia społecznego. Faktycznie walka nie tylko o byt ale i o podniesienie przyjemności tego bytu, praktykowała się często od dawna na straszliwą nawet skalę, jak tego dowodzą dzieje ludzkości przepełnione krwią i łzami, ale nauka Zbawiciela naszego, zapowiadając światu pokój, ogłosiła inną zasadę życia społecznego, zasadę powszechnej miłości, którą pomimo przeciw-działania sił jej przeciwnych, wprowadza w życie. Wzniosłą tę zasadę uznawano powszechnie, wtedy nawet, gdy nizkie namiętności zbroiły ludzi do zwierzęcej między sobą walki, w naszych dopiero czasach cynizm niewiary, pozyskawszy sobie dość znaczną ilość adeptów, zapragnął uprawnić walkę o byt w życiu społecznem, podstawiając ją w miejsce miłości bliźniego.

Nie potrzeba dowodzić, że materyalistowska ta zasada jest fermentem nieustannej w społeczeństwie walki i niepokoju i dlatego niemile rażą niektóre odgłosy odzywające się przeciwko żydom i wzywające przeciw nim do „walki o byt". „Rola" spełnia obowiązek obywatelki ganiąc nasze zaniedbanie przemysłu i handlu, wzywając do współzawodnictwa na tem polu z żydami, gromiąc lichwiarstwo żydowskie i t. d. ale niech to czyni nie schodząc ze stanowiska miłości chrześciańskiej, nie narażając się na posądzenie o nienawiść... Odrzućmy niedorzeczną teoryę zwierzęcej walki o byt, pozostańmy przy jedynie zbawczej nauce miłości i braterstwa ludzi. Wprawdzie ściślejsze braterstwo warunkuje się jednością wiary i narodowości, ale społeczeństwo upadłoby do kanibalizmu, gdyby miała zapanować w niem zasada walki o byt i nienawiści dla znajdujących się po za tą jednością."

*** W tym jeszcze miesiącu odbyć się ma w Peszcie, w urzędzie menniczym licytacya starych monet polskich; wiadomość ta nie obojętną pewnie będzie dla zbieraczy starożytności polskich, może postarają się oni o nabycie tych zbiorów, dla uratowania ich od rozproszenia i zatraty.

*** W ubiegłym karnawale, za staraniem kształcącej się w Berlinie młodzieży polskiej, urządzone tam było polskie przedstawienie teatralne, z którego dochód przeznaczono w części na wsparcia dla polskich studentów uniwersytetu, w części na rzecz poznańskiego teatru. Odegrano „Zemstę za mur graniczny" Fredry, tak sztuka jak wykonanie podobały się ogólnie. Publiczność licznie się zebrała; przybyli wszyscy niemal posłowie polscy. Wesołe tańce zakończyły wieczór.

*** W Danii coraz więcej kobiet przypuszczane zostają do służby publicznej. Obecnie 78 urzęduje w zarządzie pocztowym, w telegraficznym 124, a na kolejach żelaznych 638 i pełnią swoje obowiązki z zadowolnieniem i uznaniem odnośnych władz.

*** Wiadomo, że na jednym z placów w Kolonii, wznosi się posąg Bismarka, bez brody, otóż pewnego poranku, przechodnie spostrzegli z niewymownem zadziwieniem, że spiżowe oblicze kanclerza, zdobi wielka siwa broda. Niebawem tłumy zaczęły się gromadzić około posągu, podziwiając niesłychany cud, ale policya miała sobie za obowiązek rozpędzić je i co prędzej *ogolić* księcia kanclerza, a zarazem zarządzić śledztwo celem wykrycia psotnika tak troskliwego o historyczną ścisłość podobieństwa pomnika.

*** Wszystko zmienia się na świecie — zmiana ta nigdzie może nie jest tak uderzającą ja we dworze iszpańskim sławnym niegdyś z tak niesłychanej etykiety i surowych jej, do śmieszności przepisów. Wszak wiadomo że jeden z nich stanowił: iż ktokolwiek poważyłby się dotknąć królowej, choćby dla uratowania jej życia, zostawał skazany na karę śmierci. Otóż obecnie, z wyjątkiem może Burgu wiedeńskiego, że nie ma zamku królewskiego tak dostępnego dla pragnących go zwiedzić, jak madrycki. W prawdzie na dziedzińcu trzyma straż kompania piechoty, ale ta bynajmniej nie zwraca uwagi na wchodzących. Nieco dalej stoją konne szyldwachy, w budkach które są tak obszerne, że będący w nich jeździec, może tam swobodnie objechać je w koło. Halabardziści przechadzający się w korytarzach, także nie zatrzymują przechodni, dozwalając im dojść swobodnie do apartamentów królewskich, i dopiero w sali zwanej „anticamera" liczni szambelanowie, adjutanci i damy honorowe, kwaśno przyjmują gościa, gniewa ich to albowiem że król Alfonso i królowa Krystyna zamiast wyłącznie dla swej arystokracyi, są tak dostępni dla zwykłych śmiertelników. Każdy przybywający do Madrytu uczony, pisarz czy artysta, jeźli tylko tego pragnie, zawsze uzyska posłuchanie u króla i królowej, i dzięki niewysłowionej uprzejmości młodego dziedzica jednego z najstarszych tronów i nieprzepartemu powabowi obejścia wysoko wykształconej królowej Krystyny, każdy opuszcza zamek pod urokiem jak najmilszego wrażenia. Don Alfonso daje też posłuchania ubrany w zwykły frak czarny bez żadnych orderów, przyjmując nie jak monarcha ale jak najgościnniejszy pan domu. Królowa odznacza się gruntownem ukształceniem — różniąc się tem bardzo od wszystkich niemal poddanek swoich, dla których czytanie i nauka są to *terra incognita*.

*** Turecki minister oświecenia rozesłał do gubernatorów prowincyj okólnik, wzywający ich do ułożenia spisu wszystkich bibliotek prowincyoalnych, oznaczenia ilości i rodzaju zawartych w nich książek i rękopismów, ponieważ te wszystkie księgozbiory, wejść mają w skład wielkiej biblioteki narodowej, do której sam sułtan ma ofiarować znaczną część własnej prywatnej biblioteki, zawierającej nietylko cenne rękopisma tureckie, lecz także rzadkie dzieła w językach: łacińskim, greckim i w innych.

*** W Nowym Yorku zawiązało się stowarzyszenie kobiet zajmujących się grzebaniem zmarłych, z wyłączeniem zupełnie pomocy mężczyzn. Same składają zmarłego do trumny, niosą, mają mowy żałobne i chowają w mogile — a wszystkie te przysługi oddają za małe bardzo wynagrodzenie, co jest wielkiem dobrodziejstwem dla biednej ludności.

*** Skutkiem silnych mrozów, na całej szerokości olbrzymiej katarakty Niagary, utworzył się istny most lodowy, zbudowany z prostych głazów kry, a choć nie podparty filarami, jest bardzo mocny i wytrzymały. Budowniczym tej wspaniałej igraszki przyrody był wiatr południowy. Skutkiem kilkonasto dniowego jego trwania, popękały lody na jeziorze Erie, odległem o 25 mil angiel.

od katarakty, a olbrzymie ich złomy unoszone rzeką, utworzyły zator nad wodospadem. Rozluzowane z tego zatoru bryły lodu, spadają z wodą w przepaść osadzając się poniżej wodospadu, spojone tam znowu zamarzającą pianą, tworzą groblę w poprzek rzeki, od jednego do drugiego jej brzegu, stanowiącą jakby zarzucony most. Nigdy jeszcze ręce ludzkie nie zbudowały tak kolosalnego mostu jak ten most lodowy, mający trzy mile angielskie długości. Dopokąd z nadejściem ciepła, lód nie zacznie topnieć, można po moście tym chodzić bezpiecznie, gdyż bryły są nadzwyczaj grube i zwarte. Do zwiedzenia tego dziwu, przybywa codziennie tysiące ciekawych; ze wszystkich miast Ameryki pourządzano do Niagary umyślne oddzielne pociągi spacerowe.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani F. w Starobielsku. Magazyn bielizny z którym korespondencya była prowadzoną, został po gwałtownem drzwi odbiciu zupełnie zrabowany a właściciel pozbawiony całego swego mienia. Oboczny sklep doznał jednocześnie tego samego losu. Starać się jednak będziemy o ile można, aby dane polecenie spełnionem zostało.

Panu Januszowi Bończa w Częstochowie. W fantazyi poświęconej Szatance nieba, w formie nie ma zbyt rażących błędów, ale rzecz sama nie jest pociągającą. Sam tytuł dziwny a raczej dedykacya. Nieba szatanów nie ma więc i szatanką nieba być nie można. Zaraz na początku mieści się wiersz:

„Wonią twych piersi ja pierś swą poiłem.”

Jaką woń pierś wydaje, którą można własną pierś poić, jest rzeczą tajemniczą a nawet zupełnie niezrozumiałą. Zresztą, urocza postać kobiety, wielka to potęga, przez oczy do stóp swych korzy, ale tylko tych, którzy jedynie oczami ciała patrzéć na świat umieją. A nie miłość to, tylko żądza. Dusza zaś zdobywa się duszą, a z nią miłość z ziemi wiodąca do nieba. W fantazyi z każdej niemal litery żądza płonąca wytyka oblicze, a to niegodne, aby wciskało się w progi przybytku poezyi.

Pani Konstancyi Bronisławie W. Opowiadanie o Kuściuszce w „Przyjacielu dzieci” wydrukowane zostanie, co do innych artykułów to wszystkie przyjmujemy, aby tylko odpowiadały potrzebie tak „Tygodnika” jak „Przyjaciela”.

Redakcya prosi pani ***, która żądała objaśnień co do nagrobku dla zmarłej dzieciny, o przysłanie adresu, gdyż oba listy wraz z pugilaresem ukradzione zostały osobie zajmującej się sprawunkami.

Również prosimy o adresa: pana K. w Żytomierzu i pana M. w Dokszycy.

Zawiadomienia.

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach mogą znaleźć u jednej z rodzin polskich w tem mieście mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opiekę. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci Widok Nr. 3.

Roboty te ogłaszających się osób przedstawione były w Redakcyi i są tak ładnie, starannie i umiejętnie wykonane, że do życzenia nic nie pozostawiają, widok Wilanowa uskuteczniony czarnym haftem na tle jasnem jest rodzajem arcydzieła w swoim rodzaju, który w oprawie, każdego salonu ozdobę stanowić może.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Февраля 1883 г.

Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Chmielna N. 1530 (20).

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

— Przestraszyłeś mnie, Caro Rinaldo!.. (Nadawał on Raynoldowi to imię które tenże nazywał swem rzymskiem imieniem.)

— Przebacz, profesorze, bardzo mi przykro że przerwałem twą pracę... Ale jakże cię to mogło przestraszyć?

— Jestto gitara mej córki, i gdy poruszyłeś struny, zdawało mi się że ona dotknęła je ręką, pomimo że wyjechała z domu, co jak wiesz byłoby bardzo złą wróżbą.

Przesunął rękę po bladem ogołoconem z włosów czole, na którem widoczniejsze jeszcze były ślady choroby niż wieku, i pogrążył się w smutnem zamyśleniu.

Pierwszy to raz dopiero profesor wspomniał o swej córce; tak długie jego milczenie o niej zadziwiło Raynolda i rozbudziło jego ciekawość.

— Czy jest ona twojem jedynem dzieckiem, signor Biagio? zapytał po chwili.

— Miałem pięciu synów, odpowiedział drżącym głosem, ale żaden z nich już nie żyje, a ostatni umierając zabrał z sobą matkę. Moja biedna Dianora nie mogła go przeżyć, i cztery lata temu zostawiła mnie samego z naszą Hersylią, zaledwie piętnastoletnią.

— Czy córka twoja, signor Biagio, nie mieszka z tobą?

— O! przeciwnie, i nawet rzadko mnie opuszcza; tylko nie wchodzi nigdy do tego pokoju w godzinach gdy tu przyjmuję moich uczni, ale wieczory spędzam z nią razem, w salonie. Muszę ci go pokazać... w tamtych pokojach znać jeszcze że ten pałac był kiedyś pańską siedzibą.

Zapalił świecę i otworzył drzwi do korytarza prowadzącego do wielkiego salonu, w którym rzeczywiście szczątki złoceń i malowania dozwalały domyślać się jego dawniejszej okazałości, ale przy słabem oświetleniu wydawał się smutnym i zniszczonym. Obicia były spłowiałe, a wszystkie meble stare i pouszkadzane, z wyjątkiem fortepianu stanowiącego główną jego ozdobę.

— Widać że córka twoja, proffesorze, jest muzykalna?

— Tak, muzyka stanowi jej najmilszą... jej jedyną rozrywkę.

Powiedział te słowa ze smutkiem i przerwał rozmowę.

Wrócili w milczeniu do gabinetu, gdzie każdy zajął swoje miejsce. Stary Biagio Marini, otulony czarną długą opończą, i wsparty plecami o wysoką poręcz swego fotela, z szerokiem czołem, z pięknemi rysami, z białą brodą i z głębokiemi czarnemi oczyma, przy świetle lampy przypominał jakiś obraz Rembrandta lub Tycyana. Przyszło to właśnie na myśl Raynoldowi, patrzącemu na niego z podziwienem połączonem z pełną szacunku życzliwością. Rozrzewniało go ubóstwo tego starca, który całe swe życie poświęcił nauce, a dzięki swym rzadkim zdolnościom powienby zajmować miejsce między pierwszemi znakomitościami uczonego świata. Biagio ze swej strony polubił bardzo ucznia tak odróżniającego się od innych uczęszczających do niego, a ponieważ nieobecność córki pozwalała mu odstąpić od przyjętego zwyczaju, zezwolił chętnie aby Raynold przychodził do niego wieczorem, i rozmawiając z nim nabierał większej wprawy w języku włoskim.

Ale nie na tem jedynie ograniczały się przyjazne stosunki między uczniem i nauczycielem. Raynold jakkolwiek unikał teraz starannie świata stając się prawie odludkiem, zawsze chętnie zajmował się sobą i był skłonnym do zwierzeń gdy w nim ktoś budził zaufanie. Czemuż więc obecnie nie miałby ulżyć sercu, opisując swoje cierpienia? Tak rzadko zdarzała mu się do tego sposobność, gdyż był zarazem dumnym i niedowierzającym, i wolałby umrzéć niż wywołać żart jakiś lub ironiczny uśmiech. Skoro więc Biagio, z przenikliwością właściwą Włochom, odgadł wkrótce że głównym powodem gorliwego zajęcia się nauką, nowego ucznia, jest jakieś starannie ukrywane cierpienie, zapytał go o to z taką prostotą i współczuciem, że Raynold nie mógł się tem obrazić, dlatego też Biagio dowiedział się niedługo o wszystkiem, wyjąwszy nazwiska Eliany, które Raynold zataił przed nim. Tak gorzko użalał się nad swem położeniem, z takiem przejęciem mówił o nieszczęściu zatruwającem jego życie, że starzec przejęty głębokiem współczuciem polubił go więcej jeszcze, i okazywał mu więcej zaufania jak wszystkim zresztą swym uczniom. Dlatego też nie obraził się wcale gdy Raynold zapytał po chwili wahania, gdzie obecnie znajduje się signorina Hersilia.

— Wyjechała ze swą starą mamką w okolice Pesaro, do przyjaciółki swej matki, odpowiedział. W jej wieku smutno jest żyć samej, obok starca ciągle zajętego pracą, dlatego też staram się aby choć czasem rozerwała się trochę. Prócz tego upały w tym roku osłabiły ją nieco, potrzebowała odetchnąć świeżem powietrzem, i to było powodem że nie wahałem się rozłączyć z nią na kilka tygodni; ale wkrótce już wróci.

Raynold byłby chętnie przedłużył tę rozmowę, ale nie śmiał już zadawać więcej pytań. Tym czasem Biagio przysunąwszy się do stołu, wsparł głowę na rękę, i pogrążając się w głębokiej zadumie po niejakim czasie rzekł jakby myśląc głośno:

— Dziewczęta są łagodne, miłe i pełne wdzięku; chwytają silnie za serce, ale mają mniej rozumu niż chłopcy.

Raynold o mało nie wybuchnął śmiechem, usłyszawszy tak niespodziewanie podobną uwagę, ale wyraz twarzy starca był tak poważny, że powstrzymując się, odpowiedział tylko z uśmiechem:

— Pod tym względem, kochany mistrzu, zdania są bardzo podzielone.

— Bo też zapewnie zachodzi pewna różnica między młodemi dziewczętami, i znajdują się może między niemi posiadające więcej zdolności do nauk i studiów, to jest do gorliwej i usilnej pracy, bez której niepodobna zajść daleko.

— O ile mi się zdaje, signior Biagio, nikt też nie wymaga od nich tego.

— Dlaczego? Wszak posiadają umysł bystry, zadziwiającą pamięć, i wysokie poczucie piękna,.. Moja Hersylia obdarzona jest temi wszystkiemi przymiotami, ale brak jej chęci i woli do zużytkowania ich, brak jej pilności... Tak, Rinaldo, nie będę taił przed tobą co mnie zawstydza, co mnie doprowadza do rozpaczy... Hersylia... tak moja córka Hersylia, jest... jest *leniwa!*

Raynold byłby może nie zdołał powstrzymać się od śmiechu, gdyby nie boleść dźwięcząca w głosie starca, ale zaczął słuchać poważniej, gdy Biagio mówił dalej z żywem wzruszeniem:

— Chiałem dać jej takie ukształcenie, aby kiedyś mogła uczyć innych. Miałem nadzieję że ją skłonię do obrania tego szlachetnego i użytecznego zawodu, który kiedyś uchroniłby ją od nędzy, od której ja nie zdołam jej zabezpieczyć... Teraz usilna moja praca chroni ją od niej, ale gdy mnie już nie będzie...

Zamilkł, nie chcąc aby drżenie głosu zdradziło jego wzruszenie, ale wbrew woli łza potoczyła się po bladej twarzy starca. Rozczulony Raynold nie śmiał przemówić nawet jednego słowa.

— To mnie jednak najwięcej przeraża, odezwał się już spokojniej Biagio, że córka moja jest bardzo muzykalną, pomimo że i pod tym względem nie zadawala sobie wiele pracy. Według zdania mistrza Vincenzo Loriani, Hersylia posiada *głos złoty*, głos rzadki nawet we Włoszech, który w ciągu jednego roku dozwoliłby jej zebrać majątek, większy nad to wszystko co mi przyniosła gorliwa praca wciągu całego życia.

— Nie pojmuję co może być w tem tak przerażającego, rzekł Raynold.

— Co? zawołał z mocą Biagio. Powiem ci skoro tego nie rozumiesz, ale naprzód muszę cię zawiadomić że Hersylia odziedziczyła głos po swej matce, mojej drogiej Dianorze, którą zobaczyłem poraz pierwszy na scenie w Mediolanie, gdzie zbiegano się z całych Włoch aby ją usłyszéć. Wyrzekła się jednak bez żalu oklasków i sławy, aby podzielać los mój skromny, bo Dianora była kobietą uczciwą, bogobojną i *kochała mnie!..*

Wiosna życia pozostawia po sobie echo odzywające się jeszcze w sędziwych latach, zabrzmiało też teraz w drżącym głosie starca... Raynold usłyszał je i zadrżał. Ścisnął w milczeniu rękę Biagia i zrozumieli się pomimo że stali na dwóch przeciwnych krańcach życia.

Po niejakim czasie Biagio Marini odezwał się znowu:

— Bóg udzielił nam dwadzieścia lat szczęścia, w ciągu których praca była dla mnie rozrywką. Dianora dopomagała mi w niej i dodawała odwagi, była pojętną roztropną, ale nadewszystko mężną i pobożną... Dzieci wzrastały przy nas, byliśmy szczęśliwi. Ale następnie niebo nasze pokryło się czarnemi chmurami, a gwiazdy nasze gasły jedna po drugiej. Gdy nakoniec piąty nasz syn, dziewięcio letni Tonino, zasnął na wieki, serce matki nie zdołało już przenieść tego ostatniego ciosu. A jednak byłaby chciała żyć jeszcze, aby nie osierocać mnie i córki, i starała się o to usilnie... ale rana była zbyt głęboka i czuła sama że będzie śmiertelną. Czując że zbliża się już koniec jej życia, przywołała mnie do siebie, i w obecności kapłana który

udzielił jej ostatnie Sakramenta, rzekła do mnie: „Przysiąż mi że nigdy i w żadnym razie, nie pozwolisz na to aby córka nasza występowała na scenie.” Przyrzekłem jej to bez wahania, gdyż pod tym względem, jak zresztą pod każdym innym, zgadzaliśmy się zupełnie z sobą. Dianora nie popełniła nigdy nic przeciwnego cnocie, umiała ustrzedz się od wszelkiej skazy, ale przechodziła trudności i niebezpieczeństwa od których chciała uchronić swe dziecię. Stwierdziliśmy to przyrzeczenie uściśnieniem ręki, i wierz mi, Rinaldo, wolałbym patrzeć na Hersylię umierającą, jak patrzyłem na zgon jej braci, niż widzieć ją występującą na scenie!.

Blada twarz starca pobladła bardziej jeszcze, przez chwilę zdawało się że oddycha z trudnością. Przeszło to jednak wkrótce; przycisnął rękę do piersi i rzekł:

— To nic, już przeszło...

Milczał przez czas jakiś, a potem odezwał się znów, jeszcze nieco przerwanym głosem:

— Już oddawnego czasu cierpię na serce, wiem że to jest choroba nie uleczalna, i czuję że się powiększa, że siły moje zmniejszają się ciągle... Przejmuje mnie to trwogą, ale pojmujesz zapewnie że nie lękam się o siebie, tylko...

Zatrzymał się znowu; i trzeba było przerwać rozmowę, której Biagio nie miał siły prowadzić dłużej. Zresztą późno już było, i Raynold zabawił tylko kilka minut dłużej, dopóki Marini nie uspokoił się zupełnie, następnie pożegnał go z większym jeszcze szacunkiem i z pewną ciekawością, czy też przedmiot tak wzruszającej troskliwości, stara się ze swej strony zasługiwać na nią.

Nazajutrz niepodobna było wrocić do tegóż samego przedmiotu rozmowy, gdyż Biagio miał jakieś bardzo pilne zajęcie które chciał skończyć koniecznie, i prosił nawet Raynolda aby mu przepisał skreślone na prędce notatki. Wkrótce też słychać tylko było skrzypienie piór posuwających się szybko po papierze.

Nagle jakiś niezwykły hałas zamącił ciszę panującą w pokoju, najprzód usłyszano głośne kroki na schodach, potem odgłos jakby coś ciężkiego upadło, następnie klątwy, a nakoniec silne targnięcie dzwonka.

Zerwali się obaj jednocześnie, i Raynold pobiegł otworzyć drzwi.

Przy świetle lampki wiszącej w przedpokoju przed obrazem Madonny, zobaczył wchodzącego mężczyznę wysokiego wzrostu i bardzo otyłego, z twarzą czerwoną i potarganemi włosami.

— Niech cię licho porwie z twemi schodami, Biagio! zawołał zadyszany. Nie dość że musiałem wejść na sto piędziedziesiąt stopni, co już trochę zaciężko na mnie, ale o mało co jeszcze nie skręciłem karku... Mógłbyś przynajmniej powiesić tam latarnię.

Biagio usłyszawszy głos swego gościa, wrócił na swe zwykłe miejsce, gdy tymczasem ten wszedł mrucząc do pokoju, nie spostrzegłszy nawet że to nie stara Assunta otworzyła mu drzwi.

— Czy potłukłeś się bardzo, Taddeo? zapytał się profesor.

— Nie tak bardzo, odpowiedział nowo przybyły, siadając na fotelu, ale nie zawdzięczam tego twej troskliwości o tych którzy cię odwiedzają.

— Wiesz że nie przyjmuję wizyt wieczorem, a ciebie niespodziewałem się wcale. Czy dawno wróciłeś z Neapolu?

— Wczoraj. Ostatnie przedstawienie było przepyszne, i jestem bardzo zadowolniony z mej podróży. Gdzież jest Hersylia?

Ale zanim profesor zdołał mu odpowiedzieć, Taddeo zerwał się z fotela, z wyrazem zadziwienia. Raynold który zatrzymał się w przedpokoju aby poprawić knot w lampce, wszedł właśnie do gabinetu.

— Diavolo! rzekł półgłosem nowoprzybyły, nie powiedziałeś mi że masz u siebie gościa, i to jeszcze takiego gościa, dodał kłaniając się Raynoldowi, którego twarz była w cieniu, ale dystyngnowana postawa i ruchy kazały się domyślać że należy do arystokratycznego świata. Raynold odkłonił się, a potem wziął książkę i usiadł przy drugim końcu stołu.

— *Chi è costui?* szepnął gość.

Profesor odpowiedział głośno z wyrazem niezadowolnienia, ale z właściwą mu godnością.

— *Il signor marchese* mój uczeń, a następnie dodał z pewnym przymusem: Czy pozwoli pan abym mu przedstawił mego brata Taddea Marini, impresaria teatru *Pallada?*

Raynold, spojrzał na niego z zadziwieniem, ukłonił się i czytał dalej. Ten człowiek nie podobał mu się bardzo. Było coś pospolitego, nawet ordynarnego w jego twarzy i ubraniu, które dopełniał gruby łańcuch złoty i pierścionki pokrywające palce. Jakże to być może, pomyślał Raynold, aby takie bydlątko było bratem podobnego człowieka jak Biagio Marini?

— *Il marchese?* powtórzył Taddeo Marini, przyglądając się uważnie Raynoldowi, na którego twarz padało teraz światło lampy. *Cospetto!* znakomitego masz ucznia, i zarówno miłującego nauki jak sztuki piękne, bo jeźli się nie mylę, pan margrabia de Liminges, dwa lata temu, zaszczycał swą obecnością prawie wszystkie przedstawienia naszego teatru, i zajmował zawsze i niezmiennie jedno i toż samo miejsce w loży.

Raynold podniósł głowę i spojrzał na niego z niezadowolaieniem, sprawiło mu to przykrość że ten człowiek go poznał.

— Nie przypominam sobie pana, rzekł zimno, ale parę lat temu, bywałem rzeczywiście często w teatrze *Pallada.*

Pochylił znów głowę nad książką, chcąc mu okazać tym sposobem że nie życzy sobie brać udziału w rozmowie.

Impresario zmiarkowawszy że obecność jego nie jest pożądaną, postanowił nie przedłużać swych odwiedzin.

— Wstąpiłem tu tylko na chwilę, rzekł do brata, aby się dowiedzieć czy Hersylia już wróciła.

— Nie, odpowiedział Biagio niechętnie.

— Czy prędko wróci.

— W tych dniach.

— Musi się bardzo nudzić u donny Angeliki.

— Przeciwnie, bardzo zadowolona ze swego u niej pobytu. Potrzebowała odetchnąć wiejskim powietrzem.

— Czyli raczej potrzebowała rozerwać się trochę o czem zresztą sam jesteś przekonanym... Chciałem ci właśnie przypomnieć twą obietnicę.

— Dobrze, dobrze, Taddeo, pomyślimy o tem.

— Oboje z żoną bardzo sobie tego życzymy. Co u licha! Klorinda jest przecie jej stryjenką, i ma prawo zaprowadzić ją do teatru w Rzymie, skoro była w Pesaro z donną Angeliką na przedstawieniu Normy, przez trupę bawiącą tam czasowo.

— Od kogo dowiedziałeś się o tem? zapytał z żywością profesor.

— Od primadonny która widziała Hersylię w loży, i starała się dowiedzieć jej nazwiska, tak dlatego że ją zajęła swą pięknością, jakoteż że z zapałem biła oklaski. Więc, Biagio, mogę już liczyć na to z pewnością, że córka twoja przybędzie do nas na czas jakiś.

— Powtarzam że pomyślimy o tem później, odpowiedział niechętnie profesor.

— Przypomnę ci wkrótce tę obietnicę, a teraz już cię pożegnam.

Ukłonił się znów nizko Raynoldowi i wyszedł wraz z bratem który chciał mu poświecić na schodach; ale Taddeo zatrzymawszy się przy drzwiach rzekł trochę zniżonym głosem:

— Czy zastanowiłeś się dobrze, Biagio, nad tem o czem mówiliśmy miesiąc temu?

Twarz starca zdradzała dotkliwe cierpienie i pokryła się chorobliwym rumieńcem.

— Kto powziął niezmienne postanowienie, nie potrzebuje się już namyślać.

— To zupełne szaleństwo z twej strony.

— Być może.

— Szaleństwo szkodliwe.

— Bóg to osądzi.

— Zmienisz zdanie skoro zastanowisz się nad tem lepiej.

— Nigdy, do ostatniej chwili życia.

Taddeo patrzył na niego chwilę w milczeniu, a następnie podał mu rękę.

— Przebacz mi, Biagio, wiesz że obstaje przy tem jedynie dla twego dobra, a nadewszystko dla dobra Hersylii. Ale nie mówmy już dziś o tem... Bądź zdrów.

Zanim jednak przestąpił próg, dodał jeszcze:

— Wyjeżdżam za kilka dni do Bolonii, gdzie mnie powołują interesa, ale po powrocie przyjdę przypomnieć ci twą obietnicę.

Biagio nic już nie odpowiedział. Zamknął drzwi i wrócił do pokoju, ale gdy chciał pisać ręka drżała mu tak silnie że musiał położyć pióro.

Raynold spoglądał na niego niespokojnie; sądził że dostanie znów podobnego ataku jak poprzedniego wieczora, gdyż twarz jego pokryła się znów martwą bladością. Przeszło to jednak, ale głos osłabiony wskazywał że nie powinien pracować dłużej. Raynold oddalił się też wcześniej jak zwykle, trochę niespokojny o swego starego przyjaciela, ale nie tak już wyłącznie zajęty swym smutkiem jak dotąd.

III

Dwa dni upłynęło od tych niemiłych odwiedzin, i Biagio, przynajmniej na pozór, uspokoił się zupełnie, gdy Raynold wchodząc o zwykłej porze wieczorem do jego gabinetu, nie zastał w nim nikogo. Lampa była zapalona, książki leżały na stole, ale profesor nadszedł dopiero po niejakim czasie, a jakkolwiek zdawał się weselszym jak zwykle, odezwał się z pewnym wyrazem smutku:

— Nie będziemy już mogli pracować wspólnie wieczorami, mój drogi Rinaldo.

— Czemu? zapytał Raynold. Byłaby to wielka przykrość dla mnie.

— Ja także ubolewam nad tem, ale moja Hersylia wróciła, a tylko wieczory możemy spędzać razem. Biedne dziecko liczy na to z pewnością, a i mnie ciężko byłoby wyrzec się tego. Nie chciałem jednak pozbawić się dziś jeszcze przyjemności widzenia się z tobą, gdyż przekładam cię nad wszystkich mych uczniów, i chciałem cię zapytać czy nie mógłbyś wybrać jakiej innej godziny?

Raynold zasmucił się szczerze; obawiał się tych samotnych wieczorów, jakkolwiek dobrowolnie szukał samotności i unikał ludzi. Ale przywiązał się do tego uczonego starca, i poniekąd zespoił swe

życie z jego życiem; sprawiało mu to przyjemność że w jego domu używał przywileju niedostępnego dla innych uczniów, a nakoniec ciekawy był dowiedzieć się co nastąpi po powrocie córki profesora, gdyż domyślając się ze słów impresaria że bracia toczą z sobą jakiś spór, pragnął wiedzieć jak się to skończy. Słowem nie mógłby słyszeć nic przykrzejszego nad to co usłyszał obecnie. Spojrzał na stary zegar wiszący nad drzwiami, wskazywał pół do dziewiątej.

— Powiedz mi, kochany profesorze, zapytał, czy rzeczywiście spędzasz całe wieczory z córką, i wcale już nie zajmujesz się swą zwykłą pracą.

Profesor uśmiechnął się pomimowolnie.

— Jeźli mam powiedzieć prawdę, odpowiedział, to zawsze znajdzie się jakaś pilna robota którą trzeba skończyć, dlatego też *in primissima sera* wracam zwykle do tego pokoju i bawię tu do dziewiątej, to jest dopóki nasza stara Assunta nie zadzwoni na wieczerzę. Wtenczas wychodzę z tąd natychmiast, i do godziny jedenastej pozostaję razem z córką.

— A więc, kochany profesorze, pozwól abym przychodził wcześniej. Wieczory w tej porze roku są tak długie; dlaczegóż więc nie miałbym spędzić z tobą paru godzin zanim udasz się do signoryny Hersylii? Czy zgadzasz się na to?

Był to sposób usuwający wszelkie trudności, i dlatego Biagio zgodził się chętnie na żądanie ulubionego ucznia. Raynold ucieszony tem ustępstwem, zbliżył się do stołu, i wsparty na poręczy fotelu profesora, słuchał uważnie tego co tenże czytał, a następnie na jego żądanie zaczął czytać tenże sam ustęp, także głośno; wtem zatrzymał się nagle... Usłyszał głos który maestro Vincenzo Loriani słusznie nazwał *złotym*, głos dźwięczny, silny, przejmujący...

— Przepraszam, rzekł Biagio wstając, musiałem nie zamknąć drzwi do salonu; zaraz je zamknę.

— O! nie, nie, rzekł cicho Raynold zatrzymując go. Pozwól mi posłuchać.

Była to jedna z tych piosneczek które wszyscy śpiewają we Włoszech, ale głos i wyborna metoda nadawały jej wysoką wartość. Raynold słuchał zachwycony, a śpiewaczka zakończywszy piosenkę, zaczęła zaraz inną.

Nagle z piersi Raynolda wydarł się krzyk tłumiony, i szepnął:

— O! nie ten śpiew!... nie ten!

Biagio spojrzał na niego zdumiony. Raynold zmieniony, blady, patrzył przed siebie takim wzrokiem jakby nie wiedział gdzie się znajduje. Profesor wstał prędko, otworzył drzwi do korytarzyka poprzedzającego salon, i zawołał głośno:

— *Ersilia, taci!*

Śpiew ucichł zanim jeszcze Biagio wszedł do salonu. Hersylia stała już na środku pokoju, zdziwiona, przestraszona, ze łzami w oczach...

— Nie płacz, *carina* rzekł cicho przyciskając ją do piersi, zaśpiewasz to później, jeźli zechcesz.

— A dlaczego nie mam dziś śpiewać *Ah! non credea mirarti?* Wszak lubiłeś to najlepiej mój ojcze.

— Cicho! później ci powiem, ale teraz usiądź znów do fortepianu i śpiewaj wszystko co zechcesz, tylko *nie to.*

Miał się już oddalić gdy krzyknęła: „Madonna santa!" i ukryła się za ojcem.

Okrzyk ten wywołało niespodziewane zjawienie się Raynolda, który ochłonąwszy z gwałtownego wzruszenia odejmującego mu panowanie nad sobą, ośmielił się pójść za profesorem. Biagio posunął się naprzód jakby go chciał powstrzymać, ale Raynold pomimo to postąpił jeszcze kilka kroków: chciał się usprawiedliwić i przeprosić za swe tak dziwne żądanie.

— Pozwol mi, signor Biagio, pozostać tu chwilkę i prosić twej córki o przebaczenie. Głos signoriny jest zachwycający, ale gdy zaczęła śpiewać tę arję doznałem tak gwałtownego wzruszenia, że sam nie wiedziałem co mówię, gdyż... gdyż... i dlatego... to jest z mojej jedynie winy nie dozwolono jej dokończyć... Czy mogę mieć nadzieję że signorina mi przebaczy?

Hersylia nie mogła się z tych słów domyślić niczego, ale ochłonęła już z zadziwienia i przestrachu, i gdy Raynold mówił patrzyła na niego swobodnie, jak dziecko.

— I dlaczegóż to zasmuciłam cię, signor, śpiewając tę arję?

Zadała to pytanie spokojnie, z tą prostotą właściwą Włoszkom dzięki której pytania ich nie wprawiają nigdy w zakłopotanie tych którym je zadają.

Odpowiedział prawie mimowolnie, z takąż samą prostotą:

— Ponieważ słyszałem ją ostatni raz śpiewaną przez osobę którą kochałem i straciłem!

— Którą kochałeś, signor, i straciłeś! powtórzyła Hersylia składając ręce i patrząc na Raynolda z głębokiem współczuciem. *O poverina!* więc umarła!

— Nie; nie, zawołał z żywością Raynold. Żyje dzięki Bogu!.. tylko...

Zatrzymał się nagle zdziwiony i zmieszany tem co powiedział, i myślał już tylko o tem aby się oddalić. Ale teraz znów profesor go zatrzymał, uwiadomiwszy córkę kim był ten nieznajomy, rzekł zwracając się do Raynolda:

— Nie, Rinaldo, pozostań, skoro raz już wszedłeś do tego pokoju; Hersylia zaśpiewa nam coś jeszcze.

— Czy signor z przyjemnością słuchać mnie będzie? rzekła Hersylia zwracając się do Raynolda.

— Jakże signorina Hersylia może o tem wątpić, i zadawać mi podobne pytanie?

Usiadła natychmiast do fortepianu, i Raynold mógł przeszło godzinę słuchać nieporównanego jej głosu, i badać ruchliwą jej fizyognomiję.

Hersylia miała płeć ciemną i była bardzo blada, ale piękne białe zęby, świeże karminowe usta, i śliczne, pełne blasku, czarne oczy, wynagradzały brak rumieńców, zdobiących w chłodniejszych krajach młode dziewczęta. Nos był może trochę za krótki, ale miała zgrabną główkę i gęstę sploty czarnych włosów, które na wzór wieśniaczek rzymskich przepinała złotą szpilką. Słowem, była ładną i posiadała wiele powabu.

Gdy śpiewała oczy jej błyszczały jak gwiazdy; a stosownie do słów wychodzących z jej ust, rysy przybierały wyraz wesołości lub smutku, bez najlżejszego wykrzywiania lub przesady. To dowodziło że Hersylia mogłaby zostać nie tylko słynną śpiewaczką ale i znakomitą artystką dramatyczną.

Raynold rozmyślał właśnie otem, wracając do domu przy końcu wieczora spędzonego tak odmiennie od innych. Rozumiał teraz lepiej ciężki niepokój starego przyjaciela, równie jak znaczenie słów Taddea Marini, które usłyszał mimowolnie. Domyślił się że według zdania impresarja, brat jego posiadał obfitą kopalnię złota, z której wypadało korzystać, że śpiewaczka tak młoda, piękna i utalentowana jak Hersylia, mogłaby zebrać miliony, (a szczególniej dopomódz do zebrania ich temu pod którego opieką występowałaby na scenie.)

Przypomniał sobie wtenczas wszystko co Biagio mówił do niego, i zadał sobie pytanie: czy Hersylia okaże się godną swego ojca, lub też skłonną do spełnienia zamiarów stryja. Niepokoiła go ta wątpliwość; i zajmował go coraz więcej ten rodzinny dramat którego był świadkiem, jakkolwiek nie przypuszczał nawet aby sam miał w nim odgrywać kiedyś jakąś rolę.

Wzruszenie jakiego w dniu tym doznał, dowiodło mu jak głęboko było wyryte w jego duszy, wspomnienie rozbudzone nagle tak dobrze mu znaną nutą. Nie ukrywał też tego przed swym starym przyjacielem, gdy nazajutrz mówił z nim o powodach swego wzruszenia.

— Ta arja, rzekł, przypomniała mi dzień w którym widziałem ją po raz ostatni, i przeszedłem prawdziwe męczarnie.

— Domyśliłem się tego, odpowiedział profesor, i dlatego też nie dozwoliłem Hersylii jej śpiewać.

— Signorina Hersylia ma głos zachwycający; odezwał się Raynold po chwili milczenia.

— Tak, wiem o tem.

— Sądzę że musi także deklamować bardzo pięknie.

— Tak, niestety! tak, odpowiedział niespokojnie Biagio, i to mnie właśnie najwięcej przeraża. Ona nie widzi w tem nic złego, i gdy jej mówię że byłaby nieporównaną śpiewaczką i aktorką, śmieje się z tego, ale zdaje mi się że jest z tego zadowolnioną... Ah! Rinaldo jestem jej ojcem i kocham ją bardzo, ale gdybym mógł pozbawić ją tego niebezpiecznego talentu, uczyniłbym to natychmiast.

Było coś tak wzruszającego, tak wzniosłego w tym niepokoju biednego ojca, że Raynold spojrzał na niego z głębokiem współczuciem, i przeląkł się widząc jak strasznie zmienia się twarz starca, na samą wzmiankę o tym boleśnym dla niego przedmiocie.

— Uspokój się, drogi mój przyjacielu, rzekł, raz tylko widziałem twą córkę, ale wydała mi się tak dobrą, łagodną, tak szczerze przywiązaną do ciebie i tak uległą, że obawy twoje muszą być bezwątpienia przesadzone.

— Być może, odpowiedział już spokojnie profesor. Tak, masz słuszność, Hersylia jest pobożna, cnotliwa i kocha mnie szczerze! Nigdy, dopóki ja żyję, nie uczyni nic takiegoćoby mogło mnie zmartwić, dlatego też nie słucha rad mojego brata, (którego wyobrażenia są całkiem odmienne od moich) ale też jedynie dlatego!.. Lecz po mej śmierci!.. Nie ma innych krewnych prócz stryja, i on też będzie jedynym jej opiekunem!.. a żona jego stoi niżej jeszcze od niego pod każdym względem.

Raynold zadrżał.

— Dlatego też mówił dalej starzec, proszę Boga i Madonny aby pozwolili mi żyć jeszcze kilka lat, a gdy umrę zostali ojcem i matką mej biednej córki.

Stosownie do umowy, Raynold przyszedł wcześniej jak zazwyczaj, ale gdy Assunta zadzwoniła i Biagio chciał go pożegnać, uczeń prosił aby mu wolno było pozostać dłużej, dodając że nie pojmuje co mogłoby w tem być złego, jeźli, skoro signorina Hersylia zacznie śpiewać, będzie jej słuchał z daleka.

Profesor zgodził się na to, a nazajutrz dalej jeszcze posunął swe ustępstwo. Miał dziwną słabość do Raynolda i pokładał w nim głębokie zaufanie, a prócz tego, opierając się na otrzymanem od niego zwierzeniu, był pewnym że nie będzie się starał podobać Hersylii. Słowem, po wieczerzy sam przywołał Raynolda do salonu, w którym odtąd stał się codziennym gościem.

Niekiedy Raynold zastawał tam Hersylię siedzącą na stołeczku przy nogach ojca, i wtenczas zastanawiała go dziwna sprzeczność między spokojnym zwykle, prawie ospałym wyrazem jej twarzy, a nagłem jej czasami ożywieniem. Przejęła od ojca zamiłowanie do utworów wielkiego poety, i umiała na pamięć wiele najpiękniejszych ustępów, a że Biagio lubił bardzo gdy je deklamowała, chciał aby i ukochany jego uczeń słyszał ją także. Wtenczas to zachodziła w twarzy Hersylii ta nagła zmiana o której wspominaliśmy, i wtenczas to Raynold spoglądał na nią z podziwieniem połączonem z pewną niespokojnością. Co zaś do Biagia, zdawało mu się że deklamowanie poezyi Danta, nie miało żadnej styczności z deklamacyą właściwą zawodowi którego tak obawiał się dla córki, i nie wiedział że rozwija w niej talent, nabawiający go trwogą.

Przez kilka dni nie zaszło nic nowego, wyjąwszy że Raynold nie zajmował się już tak wyłącznie sobą jak przedtem, i że smutek jego zdawał się teraz nie tak głębokim i gorzkim.

Nie zajmował się jednak tak dalece Hersylią samą przez się, tylko przez wzgląd na jej ojca; starał się zbadać jej charakter, i poznać jaką z niego wróżbę można było wyciągnąć na przyszłość. Dotąd nie umiał sobie odpowiedzieć czy to dziewczę usprawiedliwi obawy ojca, lub też kłam im zada!.. Hersylia mówiła bardzo mało, i trudno było z jej słów powziąść jakieś wyobrażenie o jej zasadach. Słuchała w milczeniu gdy Raynold rozmawiał z jej ojcem, i tylko czasem spoglądała na niego, nie ukradkiem, ale otwarcie i z uwagą. Było to spojrzenie czyste i niewinne, lecz, czego Biagio nie spostrzegł a uczeń jego nie domyślał się wcale, stawało się niespokojnem, smutnem lub marzącem w nieobecności Raynolda. Co się tycze Raynolda, ten czuł wprawdzie że wieczory u profesora przechodziły mu teraz przyjemniej niż przedtem, ale Hersylia nie budziła w nim innego zajęcia nad to jakiegoby doznał patrząc na dziecko stojące nad przepaścią, i powstrzymywane tylko jakąś bezsilną ręką. Gdy wpatrywał się w rysy ojca zestarzałego przedwcześnie, i w tę twarz młodą wyrażającą niekiedy uczucie gorące i głębokie, a zwykle jakąś gnuśną ociężałość, zadawał sobie z przerażeniem pytanie: co to będzie, gdy wraz z ubytkiem sił starca zmniejszać się będą jego dochody, i w końcu, córka zmuszona będzie myśleć o utrzymaniu dla siebie i dla niego? Czy w takim razie zdoła się oprzeć pokusie, i nie zechce, korzystając ze swego talentu, zapewnić sobie dostatków? Jeżli tak, ojciec jej nie przeżyje tego, a w przeciwnym razie, cóż się z niemi stanie?

Usiłował znaleźć jakiś sposób uchronienia ich od nędzy i chciwości Taddea Marini, zdającego się oczekiwać chwili w której brat złamany chorobą, zażąda jego pomocy, a on wtedy będzie mógł nakazać to o co dotąd prosił daremnie.

Wszystko to przedstawiało się teraz jasno Raynoldowi, bo z tego co widział mógł łatwo domyśleć się reszty, i dlatego też los tych biednych przyjaciół budził w nim coraz żywsze zajęcie; jednak, pomimo że tworzył najróżnorodniejsze przypuszczenia, nigdy nie przyszło mu na myśl to co się później stało.

IV

Pomimo opisanej powyżej zmiany, wieczory u profesora upływały prawie tak jak zwykle, to jest że profesor nie dostrzegając że ulubiony jego uczeń słucha go z mniejszą uwagą niż dawniej, rozmawiał z nim najczęściej o przedmiotach nie zajmujących bynajmniej jego córki. W takich razach Hersylia wpadała w jakieś głębokie zamyślenie czy też roztargnienie, robota wypadała jej z rąk, i siedziała nieruchoma patrząc przed siebie dopóki głos Raynolda nie obudził ją z odrętwienia, ale i w takim razie trudno było wiedzieć czy starała się zrozumieć co mówił. Nie uszło to uwagi Raynolda, i teraz dopiero zrozumiał dlaczego profesor użalał się że córka jego jest leniwą. Teraz było to dla niego rzeczą aż nazbyt widoczną, że z wyjątkiem muzyki i poezyi, które zarówno pieściły jej słuch, piękna Hersylia nie miała zamiłowania ani w naukach ani w ręcznych robotach. Niekiedy przychodziło mu także na myśl że może Biagio był zbyt wymagającym, i przez to właśnie zniechęcił ją do pracy umysłowej. Cóż dziwnego że dawała pierwszeństwo przedmiotom przychodzącym jej łatwo, i do których miała wrodzony pociąg, jeżli innych uczono ją w sposób nieodpowiedni dla jej płci i wieku? Prócz tego Hersylia nie miała matki któraby potrafiła obudzić w niej upodobanie do robót kobiecych; nie miała siostry ani żadnej towarzyszki w odpowiednim wieku, a stara Assunta pomimo swego przywiązania, nie mogła zapełnić próżni jaką śmierć ją otoczyła.

Pewnego wieczora, gdy Hersylia siedziała z założonemi rękami patrząc przed siebie, a Raynold był więcej roztargniony jak zwykle, Biagio spostrzegł to wreszcie i powiedział córce aby coś zaśpiewała. Hersylia otrząsnęła się natychmiast z półsennego marzenia i jak zawsze spełniła natychmiast wolę ojca. Profesor zasunął się głębiej w fotel aby mu wygodniej było słuchać, a Raynold stanął tak aby mógł widzieć ją lepiej.

Hersylia zmieszała się i spuściła oczy gdy stanął naprzeciwko niej; ale trwało to zaledwie chwilę. Muzyka nie tylko że zbudziła z uśpienia jej umysł i duszę, ale tak przeistaczała wyraz jej twarzy, że śledzenie zmian zachodzących na niej podwajało przyjemność słuchania jej głosu; ona zaś w krótkim czasie zapominała o sobie i o wszystkich, ulegając zupełnie urokowi muzyki, do której posiadała tak wyjątkowe uzdolnienie.

Nigdy jeszcze głos jej nie był tak pięknym jak tego wieczora, nigdy jeszcze nie śpiewała z takiem czuciem i przejęciem. Ojciec słuchał jej z prawdziwą rozkoszą, zapominając o swych obawach. Nawet stara Assunta porzucając swe zajęcie, stała przy drzwiach uchylonych. Raynold, zachwycony i wzruszony, powstrzymywał oddech aby nie stracić ani jednego tonu; możnaby słyszeć przelatującą muchę. Nagle rozległo się w pokoju, wyrzeczone stentorowym głosem *bravissima*, a po niem głośne oklaski. Sprawiło to na wszystkich takie wrażenie jak odgłos gromu. Assunta uciekła z krzykiem. Hersylia ucichła. Raynold pochylony i wsparty łokciem na fortepianie, wyprostował się i przybrał zimną i dumną postawę. Nakoniec Biagio, niezdolny ukryć niezadowolnienia, wyciągnął z przymusem rękę do brata, gdyż to on, jak łatwo się tego domyślić, przybył tak nie w porę.

— *Scusate!* odezwał się z ironią, rzucając do koła złośliwe spojrzenia, widzę że jestem tu wcale niepożądanym gościem, i że wypadało mi uprzedzić o mojem przybyciu. Ale dzwoniłbym naprożno gdy Assunta opuściła swoje stanowisko, i nikt by nie słyszał. Szczęściem że zostawiła drzwi otwarte, inaczej musiałbym odejść jak przyszedłem... Co zresztą, jak się zdaje, mnie tylko sprawiłoby przykrość.

Potem udając że dopiero zobaczył Raynolda, rzekł składając głęboki ukłon:

— A! pan margrabia tu!.. przebacz pan że dotąd nie powitałem go, ale nie spodziewałem się spotkać go w naszem rodzinnem kółku, gdyż brat zapewnia mnie zawsze że w tych godzinach nikogo nie przyjmuje.

Ryanold wyszeptał parę słów niezrozumiałych, a Taddeo Marini stał nieruchomy nie ukrywając swego złego humoru.

— Więc słuchałeś za drzwiami, stryju Taddeo? spytała Hersylia.

— Tak, *carina*, odpowiedział udobruchany nieco, nie wchodziłem nie chcąc ci przeszkadzać. Nie pytam co się dzieje z twoim głosem, bo słyszałem go przed chwilą — ale pragnąłbym jeszcze usłyszeć z blizka. Zaśpiewaj mi *Casta diva*, ja będę akompaniował.

Hersylia zastosowała się do życzenia stryja. Był on dobrym muzykiem, akompaniował doskonale, to też śpiewała *Casta diva* lepiej niż inne arye, łącząc nadto do śpiewu odpowiednią gestykulacyą (na wzór artystki którą niedawno widziała w teatrze) co podniosło jeszcze i tak już znakomite wykonanie.

Taddeo Marini nie spuszczał z niej oka i słuchał z największą uwagą; gdy skończyła zawołał:

— *Brava! bravissima!* Loriani jest wielkim mistrzem, a ty skończoną artystką! I najniezawodniej nie dlatego Bóg obdarzył cię tak cudownym głosem, aby rozlegał się w tej zniszczonej izbie — choćby w obec tak wyborowych słuchaczy, dodał szydersko.

Wstał od fortepianu, zbliżył się do brata — widocznie chciał mówić z nim bez świadków. Widząc to Raynold zawahał się chwilę, poczem rzekł:

— Pozwolisz, signor Biagio, że udam się do twego gabinetu, i pozostanę tam do zwykłej godziny; najmocniej dziękuję za rozkosz jaką mi sprawiłeś, pozwalając mi dziś słuchać śpiewu signoriny Hersylii.

Powiedziawszy to wyszedł, spodziewając się iż Taddeo będzie sądził że obecność jego o tej porze była dziś wyjątkową; Biagio odetchnął swobodniej— obaj nie dostrzegli szyderskiego uśmiechu niedowierzania, jaki zaigrał na ustach impresaria.

Hersylia powróciła na zwykłe swoje miejsce; postrzegła jednak wkrótce że i jej obecność była zbyteczną, a gdy na pytające jej spojrzenie, ojciec potwierdzająco skinął głową, milcząc wyszła z pokoju. Bracia pozostali sami.

Biedny Biagio! poznał z miny brata że coś niepomyślnego spotkać go musiało, oczekiwał więc z niewymownym niepokojem co mu powie, wiedząc z doświadczenia jak natrętnie natarczywym staje się wtedy.

Rzeczywiście Taddeo doznał wielkiego niepowodzenia w Bolonii, w skutku czego potrzebował teraz znacznej sumy pieniężnej, a wiedział jak łatwo mógłby ją uzyskać! Wszak trzeba było tylko przełamać opór brata i uzyskać od niego pozwolenie, którego, jak mu się zdawało, ona także pragnęła. Jeżliby Biagio zezwolił przed końcem sezonu na debiutowanie Hersylii — byłby ocalonym, w przeciwnym razie grozi mu zupełna ruina. Oto powód zniewalający go silniej niż kiedykolwiek nalegać na brata, i choćby gwałtem wymódz zezwolenie.

(*D. c. n.*)

---

kąż wstawką z falbankami oszyty wykrój z przodu. Falbanka u dołu ma 7 cent. szerokości, do wiązania z tyłu, wszyte między szwy boczne szarfy batystowe.

N. 19—20. Talerz metalowy.

Deseń wypalany czyli wygryzany serwaserem na miedzi lub mosiądzu. Sposób wykonania opisywaliśmy w Tygodniku Mód z r. 1881.

N. 21 i ryc. 16. Futerał na szczotkę, ozdobiony haftem peruwiańskim gobelinowym i frendzlą „macrame".

Futerał upleciony sposobem koszykarskim z trzcinki bronzowej, ozdobiony był szlakiem haftu peruwiańskiego, gobelinowego, do którego próbkę naturalnej wielkości dajemy na ryc. 16 Robotę wykonywa się na kanwie płóciennej, włóczką crevel w kolorze czarnym, ciemno fijołkowym, żółtym i ponsowym. Szlak objęty jest w górze i u dołu paskiem pluszu 3 cent. szerokim. Frendzle macrame robi się z siepanej kanwy jawa albo podwójnie danego siepanego płótna, którego nitki wiążą się i kwasty suto zdobią jedwabiem w kolorach haftu gobelinowego.



N. 1. Ubranie wizytowe. Patrz r. 33.



N. 2. Ubranie wizytowe dla młodej osoby.

Opis do N. 7.

(Dokończenie).

N. 18. Fartuszek z przodem zaszytym w zakładki. Krój podług r. 39 w N. 30 z r. 1882.

W biały półbatystowy fartuszek wszyta jest z przodu część 13 cent. szeroka w pół cent. szerokie zakładki zastębnowana, po brzegach zakończona haftowaną 2 i pół cent. szeroką wstawką, oszytą trochę nadmarszczoną falbanką 2 cent. szeroką, z której w dalszym ciągu dane są ramiączka; ta-



Ubrania balowe.

N. 3. Suknia z fartuszkową tuniką. Patrz r. 20. N. 4. Suknia z fałdą à la Watteau. Patrz r. 24 w N 7.

N. 27. Kołnierzyk przemarszczany.

Robi się z prostego kawałka muślinu żółtawego, 15 c. szerokiego a 82 długiego, w dolnym brzegu z przodu trochę zaokrąglonego i oszytego szlakiem 6 cent. szerokim z haftu gipiurowego. Brzeg górny przemarszcza się gęsto 9 razy na 5 cent. szerokości i wszywa w pasek zaokrąglony, mający z brzegów 1 i pół, z tyłu 3 i pół cent. szerokości, a 39 cent. długości, na któren wyłożony jest szlak haftowany, 4 cent. szeroki, w brzegach zwężony. Pod haft podkłada się wstążkę z boku na kokardę związaną.

N. 22. Woreczek pompadour ozdobiony robotą macramé.

Woreczek z pluszu miedzianego koloru zdobi z wierzchu kwadrat macramé robiony z jedwabiu złotego i pawiego koloru, u dołu zakończony frendzlą, której próbkę dajemy na ryc. 6. Górne brzegi na 6 cent. nie zeszyte są przy zwierzchniej połowie, podszyte pluszem paljowym, a przy spodniej atlasem ponsowym. Sznury i kwasty jedwabne w kolorach woreczka i roboty macramé.

N. 25—26. Kołnierzyk z przymarszczonemi zakładkami.

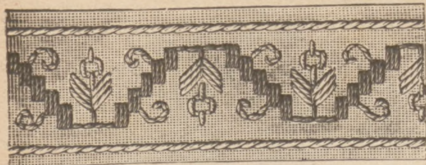
Ryc. 26 przedstawja w naturalnej wielkości część zakładek zdobiących kołnierzyk, których na modelu było 11 jedne na drugie zachodzących i zajmujących 6 cent. szerokości. Zakładki zaszywa się przed igłą a następnie przymarszcza. Cały kołnierzyk robi się z prostego kawałka muślinu 128 cent. długiego, po zaszyciu zakładek 11 cent. szerokiego, któren po przymarszczeniu ma 82 cent. dolnego obwodu, w górze zmarszczonego i wszytego listewką 38 cent. długą, z tyłu 2 z przodu 1 cent. szeroką, na którą wykłada się gładko przyszytą koronkę. Dół kołnierzyka oszyty marszczoną, 5 cent. szeroką koronką, której próbkę dajemy na ryc. 25 w N. 8. Do upięcia służy gałązka kwiatów.



N. 5. Ubranie z krótkim paletocikiem.



N. 6. Suknia z długim stanikiem. Patrz r. 23 w N. 7.



N. 7. Szlaczek ściegiem płaskim.

N. 28—30. Ręcznik z kolorowym wyszyciem i frendzlą macramé.

Na wyrobionym fabrycznie w owiesek, dość grubym ręcznikowym materyale, mającym 50 cent. szerokości a 150 długości razem z frendzlą wysiepaną 12 cent. długą, wyszyte są szlaki i tło bawełną kolorową. Próbkę (naturalnej wielkości) deseniu węższego dajemy na r. 30, szlaczek górny powtórzyć u dołu; szlak środkowy 20 c. szeroki, przy drugim końcu, wybrać można z pomiędzy deseni danych w r. 1882. Kontury deseniu przerysowanego na ręcznik robić ściegiem sznureczkowym, bawełną ponsową lub szafirową ciemniejszą, a tło wyszyć bawełną jaśniejszą, sposobem wskazanym na próbce ryc. 29. Do frendzli siepanej, 12 cent. szerokiej dodać nitki kolorowe.



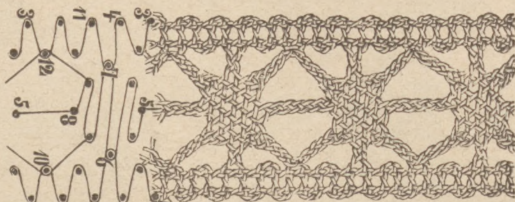
N. 12. Żabot z kwadratowego kawałka. Patrz ryc. 13.



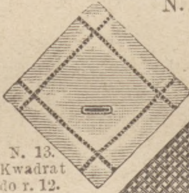
N. 16—17. Szpilki do ubrania głowy.



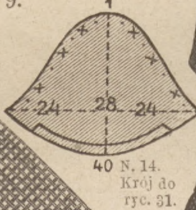
N. 9. Serwetka zdobna haftem i koronką. Patrz r. 10 i 11.



N. 10. Wszywka do r. 9.



N. 13. Kwadrat do r. 12.



N. 14. Krój do ryc. 31.

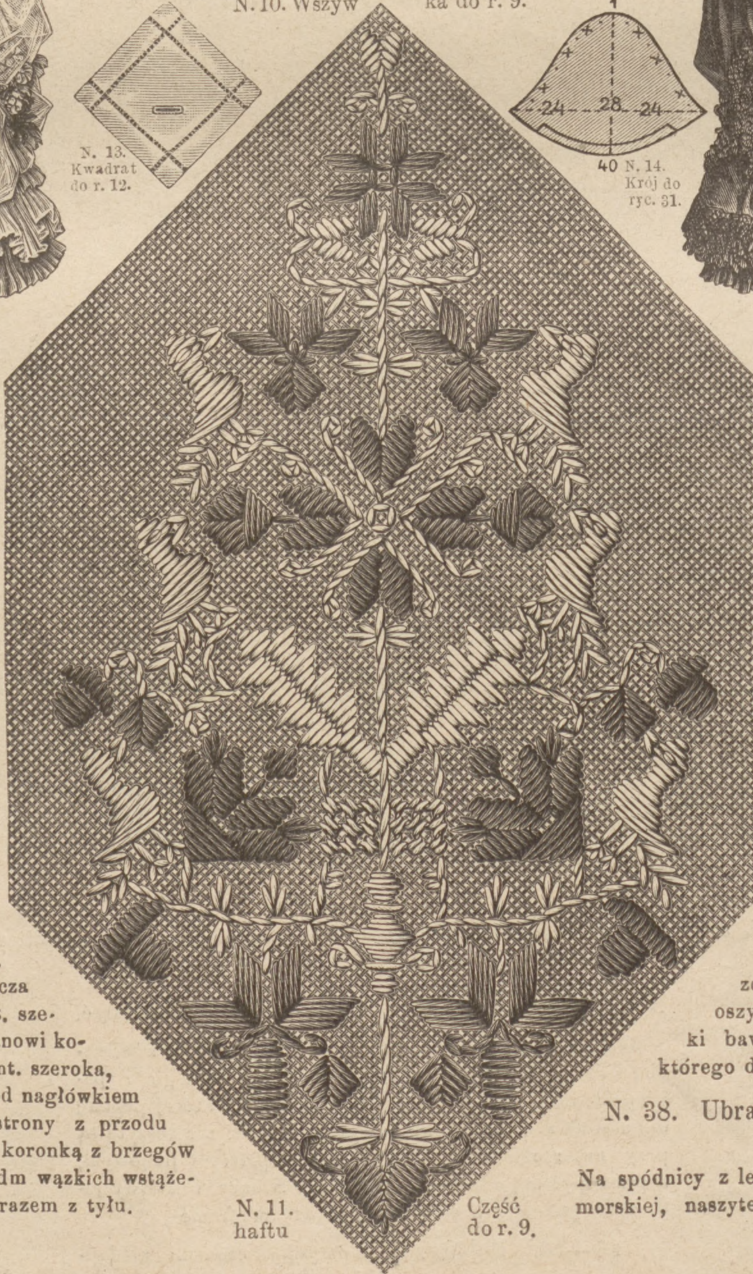
N. 20. Spódnica do ryc. 3.

N. 35. Czepeczek z gazy i koronki.

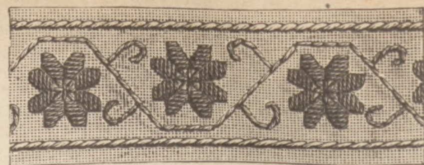
Na czółku ze sztywnego tiulu mającem 8 c. środkowej a 2 brzeżnej szerokości, 35 przedniej a 33 tylnej długości, upina się kawałek gazy jedwabnej 36 cent. długi a 40 szeroki, którego brzeg górny z rogami trochę zaokrąglonemi jest przyfałdowany, a brzeg dolny prosty luźno zestawiony, zakłada się podwójnie na falbankę 1 i pół cent. szeroką, i przemarszcza na dwie bufki, 2 cent. szerokie. Garnirunek stanowi koronka fałdowana 7 cent. szeroka, naszyta na czółku i pod nagłówkiem z tyłu oraz w dwie strony z przodu nad czołem. Pod tą koronką z brzegów przyszywa się po siedm wązkich wstążeczek, które wiążą się razem z tyłu.



N. 22. Sukieneczka dla dziecka lat 2—4.



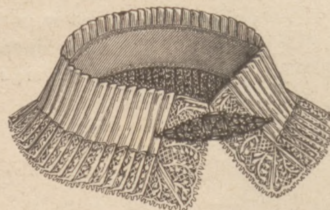
N. 11. Część haftu do r. 9.



N. 8. Szlaczek ściegiem płaskim i sznureczkowym.

N. 36. Czepeczek z koronki.

Podstawę stanowi trójkąt ze sztywnego tiulu, mający 7 c. środkowej szerokości a 21 długości w prostym tylnym brzegu. Koronkę fałdowaną 5 cent. szeroką przyszywa się do przedniego brzegu czółka; też koronka przyszyta do paska muslinu 3 i 8 cent. szerokiego, przyszywa się z tyłu do czółka, tak iżby jedna na drugą zachodziła. Ubranie z przodu stanowi w środku złączona koronka przepięta węzłem, i pukle ze wstążki repsowej, 6 cent. szerokiej, takież końce 80 cent. długie pod koronką przyszyte, wiążą się z tyłu na kokardę.



N. 15. Kołnierzyk wykładany.



N. 21. Spódnica do r. 37 w N-rze 7.



N. 18—19. Strzała i grzebień do ubrania głowy.

N. 37 i ryc. 21 w N. 8. Ubranie wieczorowe.

Ryc. 37 przedstawia strojną i gustowną suknię, odrobioną z lekkiej faille w kolorze „bleu hirondelle, ozdobioną szlakami haftowanemi jedwabiem takiegoż albo blado żółtego koloru. Na ryc. 21 w N. 8 damy oddzielnie samą spódnicę plisowaną, w odstępie 58 cent. od wszycia w pasek ułożoną w bufę 12 do 15 cent. szeroką, zatem na plisowanie 8 cent. szerokie przeszytą, u dołu puszczono jako wolant 12 cent. szeroki, haftowanym szlakiem oszyty. Panier składa się z dwóch części nierównej wielkości, z których dłuższa i szersza zachodzi trochę na bok na część mniejszą. Sutą tylną draperyę między boczne szwy wszytą zdobi szlak haftu, którym oszyte jest także panier, krótki bawetowy stanik i rękawy i z którego dane chusteczkowe ubranie.

N. 38. Ubranie balowe dla młodej panienki.

Na spódnicy z lekkiej materyi koloru wody morskiej, naszyte są wolanty koronkowe,

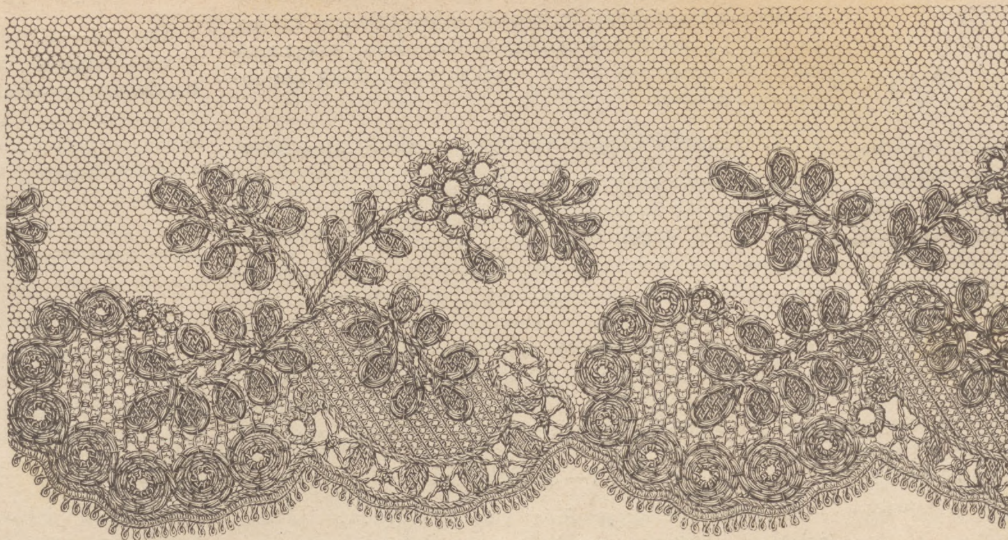


N. 23. Sukienka z kamizelką dla dziecka lat 2—4.



N. 24. Serwetka do położenia na obrusie.

przepinane pukielkami i końcami z wązkiej atłasowej wstążki. Krótka fałdowana tunika z tyłu szarfową draperyą dopełniona, podpięta jest z boków długiemi gałązkami róż blado różowych. Także kwiaty przypięte na jednym ramiączku stanika, z krótką w patki przeciętą baskiną.



N. 25. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 26. Wykonanie ściegu nawijanego (point de minute) do ryc. 5 w N-rze 7.



N. 27. Wskazanie haftu do ryc. 4 w N-rze 7.



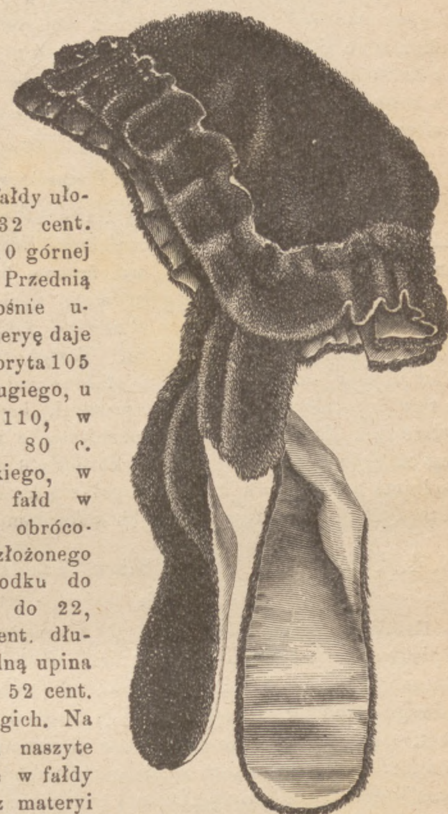
N. 28. Rękawiczki Jersey.



N. 29. Poduszka pluszowa z haftem.



N. 30. Kapelusz z fałdowanem rondkiem.



N. 31. Kapturek dla osób starszych.

N. 39—40. Kwiaty do balowej sukni.

Ryc. 39 przedstawia bertę ułożoną w kształcie frendzli z blado niebieskich dzwoneczków, spuszczonych na wiotkich gumowych gałązkach, a r. 40 balowe ubranie głowy, przymocowane do grzebienia; także długie gałązki i kokardy z blado niebieskiej wstążki zdobiły suknię tiulową.

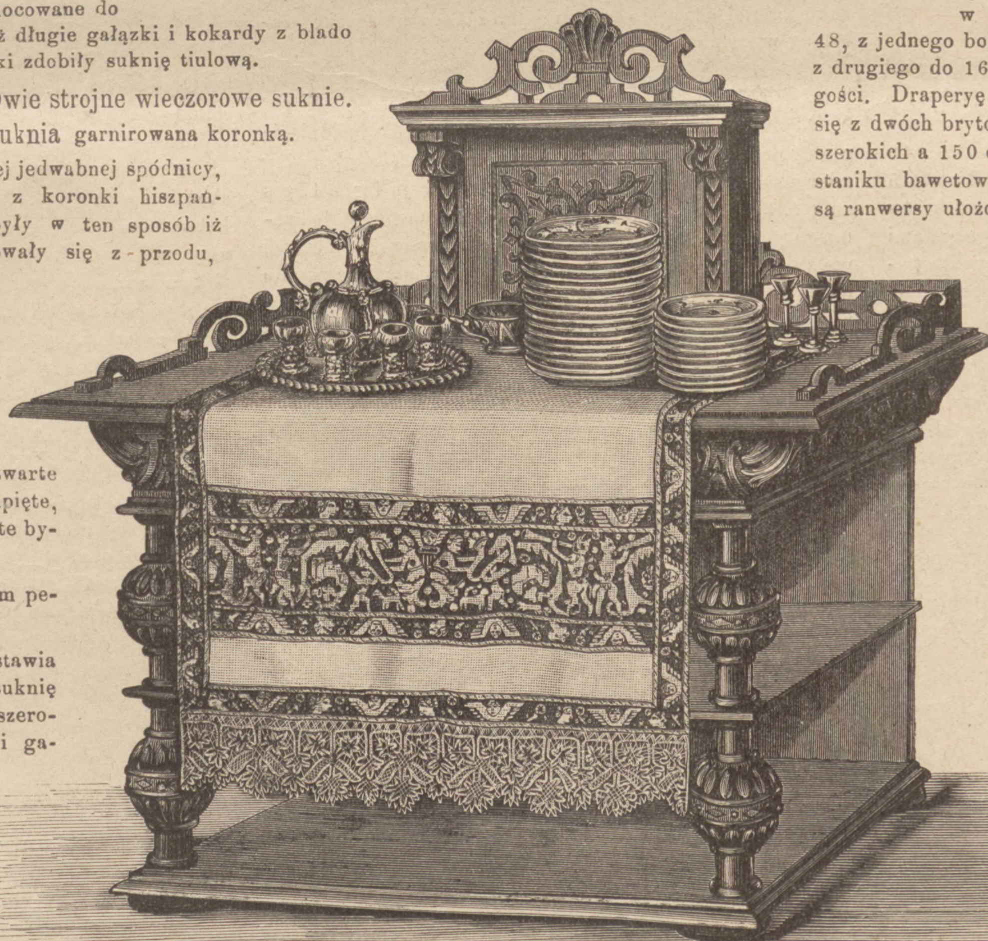
N. 43—44. Dwie strojne wieczorowe suknie.

N. 43 Suknia garnirowana koronką.

Na blado żółtej jedwabnej spódnicy, szerokie wolanty z koronki hiszpańskiej, naszyte były w ten sposób iż końce ich krzyżowały się z przodu, w spiczasty ząb podniesione. Vêtement ze stanikiem bawetowym ubranym węższą koronką, odrobione było z blado niebieskiego aksamitu. Szeroko otwarte vêtement, w górze w pukiel podpięte, dalej gładko spuszczone, z tyłu upięte było w jedną bufę.

N. 44. Suknia ozdobiona haftem perełkowym.

Ryc. 44 przedstawia czarną atłasową suknię ozdobioną 10 c. szerokiemi szlakami i gałązkami haftowanemi dżetem na czarnym tiulu, które rozrzucone są na gładkim, 84 cent. długim brycie przednim, z boków i u dołu szlakiem perełkowym oszytym. U dołu z przodu i z tyłu, spódnica oszyta jest plisowaniem 12 cent. szerokiem; w boki wstawione są bryty 52 cent. szerokie, w równe fałdy ułożone do 32 cent. dolnej, a 10 górnej szerokości. Przednią trochę skośnie upiętą draperyę daje się z bryta 105 c. długiego, u dołu 110, w górze 80 c. szerokiego, w sześć fałd w górę obróconych złożonego w środku do 48, z jednego boku do 22, z drugiego do 16 cent. długości. Draperyę tylną upina się z dwóch brytów 52 cent. szerokich a 150 długich. Na staniku bawetowym naszyte są ranwersy ułożone w fałdy z materyi skośnej w górze mające 6 c. szerokości. Wykrój szyi wszyty w pasek przemarszczany 4 i pół cent. szeroki, w górze wązką, u dołu 8 cent. szeroką koronką ogarnirowany, z tej ostatniej dany także żabotowy garnirunek z przodu.



N. 34. Serweta na bufet. Patrz r. 35.



N. 32. Plecy do r. 3 w N-rze 7.



N. 33. Plecy do r. 1.



N. 35. Szlaczek do serwety ryc. 34.

Opis do N-ru 8.

N. 1 i 33. Ubranie wizytowe.

Miękka materya surah lub satin merveilleux, tego samego koloru aksamit gładki czy deseniowy, koronka hiszpańska 10 cent. szeroka i tejże szerokości pasmanterya szmuklerska wyrobiona w zęby, składają materyał na suknię przedstawioną na ryc. 1 i 33. Przybranie stanika z przodu ściętego w bawet, z tyłu zakończonego karoczkiem, dodanem z trójkątnego kawałka na wierzchu baskiny, stanowi plastron aksamitny, z przodu 15 a tyłu 8 c. długi, ogarnirowany dwoma rzędami marszczonej koronki. Spódnica aksamitna wycięta u dołu w długie proste patki, podszyte plisowaną falbaną przysłonięta jest tuniką dopełnioną na biodrach bufami dochodzącemi do brzegów stanika. Na te bufy potrzeba z każdego boku prostego kawałka materyału 30 cent. długiego, sfałdowanego, złożonego we dwoje i przyszytego na spódnicy.

N. 2. Ubranie dla młodej panienki.

Suknia biała kaszmirowa ma długą fartuszkową tunikę dopełnioną z tyłu prostym brytem suto podpiętym; stanik z długą baskiną z przodu i z boków wyciętą w pukle, między któremi przegląda aksamit ponsowy, plecy zaś zakończone fałdowanem karoczkiem. Zapięcie przodów na haftki przykrywa rodzaj żabotu z pukli aksamitnych i z koronki. Spódnica u dołu zakończona szwajcarskim haftem, podwleczonym ponsowym atłasem.

N. 3 i 20. Suknia balowa z fartuszkową tuniką.

Spódnica z blado niebieskiego tiulu na ryc. 3 zdobna falbanami, dochodzącemi do fartuszkowej tuniki, na r. 20 przedstawiona jest oddzielnie, zakończona bufą atłasową u dołu, na którą za hodzi garnirunek wachlarzowo fałdowany; wyżej widzimy trzy plisowane falbany naszyte pliską atłasową 6 cent. szeroką. Takież trzy atłasowe plisy dane z przodu na tunice, sfałdowanej fartuszkowo z tyłu dopełnionej upięciem z prostych brytów. Stanik atłasowy z długim bawetem, sznurowany z tyłu, wycięty jest okrągło i oszyty hiszpańską koronką 6 cent. szeroką, podpiętą na ramieniu kokardą i gałązką kwiatów. Na tunice festony z kwiatów wiązanych kokardami.

N. 4 i 24. w N. 7. Suknia balowa z fałdą à la Watteau.

Ryc. 4 w dzisiejszym i 24 w N. 7 przedstawiają przód i plecy sukni z żółtego atłasu, której spódnica przykryta dwoma płaskiemi bufami z tiulu koloru (ambre) bursztynowego w rzucik; wyższa bufa jest 50 cent., niższa 40 cent. szeroka. U dołu sukni dane plisowanie atłasowe 5 cent. szerokie, na które spada garnirunek z koronki 10 cent. szerokiej układanej falisto i przepinanej gałązkami dużych kolorowych róż. Zamiast dodawanej zwykle tylnej draperyi na spódnicy, widzimy przy tem ubraniu oryginalnie upiętą fałdę à la Watteau z bryta tiulu 130 c. szerokiego, idącą od góry pleców stanika, gdzie zebrana ściśle do 13 cent. szerokości, a rozszerzającą się na spódnicy. Krótki bawetowy stanik z atłasu zakończony u dołu wypustką z grubym sznureczkiem, z tyłu zachodzi pod szyję, z przodu ma głęboki okrągły wykrój przybrany bertą. Krótkie rękawki z dwóch bufek podszytych koronką 10 cent. szeroką.

N. 5. Ubranie spacerowe z krótkim paletocikiem.

Odpowiednie jest szczególniej dla młodej panienki idącej ślizgać się. Paletocik krajany podług formy zwykłego stanika z baskiną, może być z tego samego materyału co suknia lub też z aksamitu, pluszu, sukna takiegoż koloru, na ciepłej podszewce, z obłożeniem futrzanem; takąż mufkę. Przy tunice lub u dołu sukni można dodać także obłożenie futrzane.

N. 6. Suknia z długim stanikiem. Patrz r. 23 w N. 7.

Odrobiona z miękkiego wełnianego materyału ma przy długim staniku dodaną atłasową kamizelkę, 12 cent. szeroką, naszytą wzdłuż pletnią tego samego koloru. Wzdłuż brzegów stanika dane obłożenie pluszowe 6 cent. szerokie u dołu rozszerzone na 8 cent. i przyszyte grubą atłasową wypustką. Zapięcie stanika dane z boku na kryte haftki a w pasie kamizelka przyciśnięta klamrą. Na spódnicy dany wolant w kontrafałdy 25 cent. szeroki, wyżej zaś garnirunek 45 cent. szeroki, wycięty w zęby naszyte pletnią, podchodzący pod brzeg tuniki fartuszkowej.

N. 7—8. Szlaczki.

Wyszyte są kolorową filozelą na tle z grubego płótna, ściegiem płaskim i sznureczkowym i służyć mogą do serwetek, fartuszków i t. p.

N. 9—11. Serwetka z haftem i wszywką koronkową.

Środek serwetki liczącej w kwadrat 52 cent. stanowi kawałek białej kanwy de congrès (28 cent.) ozdobionej kolorowym haftem, w koło tego środka dany wąski obrąbek odznaczony kratką ażurową a po za nim cztery rzędy wszywki koronkowej po 2 cent. szerokiej; dwa rzędy są białe a dwa naprzemian szare (kolor ficelle) jak koronka 3 i pół cent. szeroka otaczająca brzegi serwetki. Ryc. 11 przedstawia w naturalnej wielkości czwartą część deseniu zajmującego środek serwetki, odrobionego ściegiem płaskim i sznureczkowym filozelą w dwóch kolorach. Ptaszki i gałązki są blado różowe, a kwiatki i listki blado niebieskie. Wszywka licząca 24 nitek, odrabia się podług r. 10; na obrąbku otaczającym tło środkowe wyszyty szlaczek podług r. 7 lub 8.

N. 12—13. Żabot złożony z kwadratowego kawałka.

Środek żabotu stanowi kwadracik 6 cent., otoczony obrąbkiem 1 cent. szerokim przyszytym kratką ażurową, wycięty z najcieńszego płótna i oszyty marszczoną koronką 8 cent. szeroką. Do oszycia wychodzi 100 cent.; trzeba pamiętać żeby koronka po złożeniu kwadratu wypadała wszędzie na prawą stronę. Dziurka obrobiona w połowie spodniej, służy do przypinania żabotu na spinkę założoną w kołnierzyku.

N. 14 i 31. Kapturek dla starszej osoby.

Odpowiedni do zarzucenia na czepeczek dla osłonięcia głowy przy ubraniu wizytowem, dopasowywa się podług miar wskazanych na maleńkim formacie kroju fig. 14, zaś na ryc. 31 widzimy kapturek uszyty z czarnego jedwabnego pluszu, na lekko podwatowanej ponsowej atłasowej podszewce. Przy tylnym brzegu podszywa się listewkę do marszczenia, brzeg przedni fałduje się podług krzyżyków na ryc. 14; zakończenie stanowi 6 cent. szeroka falbanka podszyta atłasem. Końce do wiązania zaokrąglone u dołu, liczą po 58 cent. długości a 14 szerokości i mogą dla ciepła krzyżować się z przodu a zapinać z tyłu otaczając szyję.

N. 15. Kołnierz wykładany.

Potrzeba na niego prostego paska indyjskiego muślinu 3 i pół cent. szerokiego, oszytego 2 cent. szeroką koronką, który po zaplisowaniu w drobne fałdki, wszywa się w prosty pasek 2 cent. szeroki. Kołnierzyk zapięty jest ozdobną podłużną broszą.

N. 16—19. Ozdobne szpilki do włosów.

Ryc. 16—17 przedstawiają wyroby z szyldkretu, który znowu stał się bardzo modnym; na ryc. 16 widzimy zupełnie oryginalną szpilkę do przytrzymania kapelusza na głowie; długie końce szpilki podwójnej wsuwają się we włosy, na krótkich stojących w górę opiera się kapelusz, zarówno okrągły jak formą kapotki. Ryc. 17 przedstawia szpilkę z jasnego przezroczystego szyldkretu. Na r. 18 do 19 podajemy piękne modele wyrobione w stylu renaissanca z oksydowanego srebra; grzebienie stanowią znowu bardzo używane przybranie głowy.

N. 22. Sukieneczka dla dziecka lat 2—4.

Do fałdowanej spódniczki uszytej z materyału wełnianego w kratę włożone paletocikowe vêtement z granatowego aksamitu, u dołu wycięte w zęby, oszyte atłasową wypustką. Guziczki metalowe wypukłe.

N. 23. Sukieneczka z kamizelką, dla dziecka lat 2—4.

Paletocik i fałdowana spódniczka uszyte z popielatego wełnianego materyału, kamizelka zaś dana z ponsowego atłasu. Przyozdobienie paletocika stanowi atłasowa wypustka otaczająca brzegi i obejmująca patki u dołu przodów zachodzące na siebie i przyszyte guziczkami. Na szerokim wykładanym kołnierzyku dany ranwers atłasowy, takież obłożenie u mankietów.

N. 24. Serwetka podłużna do położenia na obrusie.

Model z białego płótna liczył 32 c. szerokości a 160 długości, oprócz wszywki siatkowej 6 cent. szerokiej i obrąbka 4 c. szerokiego. Deseń, którego nie możemy podać w naturalnej wielkości dla braku miejsca, obwodzony był cienką kolorową bawełną ściegiem sznureczkowym, a środki figur zapełniane były różnorodnemi rodzajami ściegów, grubszemi nićmi szpulkowemi.

N. 25. Koronka wywodzona na tiulu.

Kontury deseniu wywodzone są cienką nitką świecącą, zaś obrzucanie dziurek i krateczka w listkach wyszyta nićmi N. 120; na ścieg koronkowy zapełniający tło między deseniem użyty N. 200. Niektóre dziurki w deseniu obwodzone są kilkakrotnie bawełną stopniowej grubości.

N. 28. Rękawiczki Jersey.

Szyte są z materyału jedwabnego tkanego fabrycznie; wielki palec jest bez żadnego szwu, inne mają tylko jeden szew z boku; u dołu na zgięciu ręki dana elastyka. Wierzchnia strona ozdobiona jest ażurowem deseniem.

N. 29. Poduszka ozdobiona haftem.

Oryginalna poduszka 48 c. długa ma pokrycie zwierzchnie zszyte z pluszu kolorowego; spodnia część jest z pluszu wiśniowego 75 cent. długa a 42 szeroka, zwierzchnia zaś składa się z pasa wiśniowego pluszu danego skośnie środkiem, do którego z boków przyszyte są trójkątne kawałki oliwkowego pluszu, 24 c. szerokie. Na zszyciu dany haft płaski filozelą, obwodzony cieniutkim złotym sznureczkiem. Pokrycie to po skończeniu podszywa się z boków oliwkowym atłasem i przyciąga przepięciami ze sznura, przewiązanemi w odstępie 13 cent. od brzegów. Sznur z włóczki ponsowej i oliwkowej zakończony pomponami.

N. 30. Kapelusz z fałdowanem rondkiem.

Przy gładko powleczonej aksamitem główce ładnie odznacza się rondko pokryte aksamitem zakładanem w skośne fałdy. Przybranie stanowi wstążka „velours ottoman", 6 cent. szeroka, opasująca dwa razy główkę, z tyłu związana w kokardę, z długo spadającemi końcami. Nad czołem krótkie strusie piórko przypięte dżetową agrafką, drugie dłuższe pióro wysuwa się z boku aż po za rondko.